



Instytut Bałtycki
Wydział Biblioteczny
Bydgoszcz, Al. 1 Maja 48

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

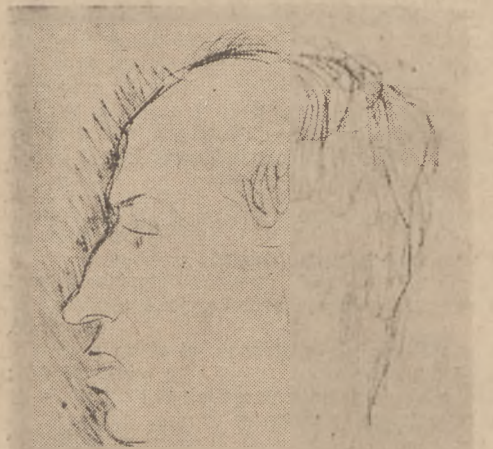
Rok IV

Łódź, 17 sierpnia 1947 r.

Nr 32 (111)

Julian Rataj

Dwuletni plan gospodarczy Czechosłowacji



Julian Rataj
rys. St. Gierowski

Pierwsze zapowiedzi zasadniczych przemian gospodarczo - społecznych w odrodzonym państwie czechosłowackim padły już w czasie wojny w orędziu prezydenta Edwarda Benesa, wydanym w Londynie w lutym 1944 r., w którym również przyjęta została zasada planowania, jako podstawowa rządząca w polityce i życiu gospodarczym przyszłego państwa. Na zewnątrz było to wyrazem szczęśliwego i rozumnego układu sił politycznych zagranicznego środowiska czechosłowackiego, które należytnie zrozumieniem aktualnych wymogów polityczno-ustrojowych, jakże korzystnie odbijało od wstecznych i skłóconych skupisk emigracyjnych innych narodów. Dla samego narodu pozostającego w mrokach okupacji i przemocy hitlerowskiej stanowiło to otuchę i zachętę do wytrwania.

Idea strukturalnej przebudowy ustroju gospodarczego przewija się także w kosztym programie rządowym przez podkreślenie konieczności upaństwowienia kluczowych przedsiębiorstw przemysłu i górnictwa, produkcji energetycznej, ubezpieczeń oraz całego systemu pieniężno - kredytowego.

Myśl gospodarki planowej wywołująca konsekwentnie na podłożu przeprowadzonych po wojnie ustrojowych reform gospodarczych, podjął i rozwinął trzeci rząd Frontu Narodowego Czechów i Słowaków w postaci dwuletniego planu odbudowy i rozbudowy na lata 1947 i 1948, przyjętego przez Konstytucyjne Zgromadzenie Narodowe i podpisanego przez Prezydenta Republiki Edwarda Benesa w końcu października 1946 r.

Przygotowanie ustroju o dwuletnim planie było wykonaniem poprzedniego ważnego aktu wydanego 8 lipca 1946 r. w postaci Programu Odbudowy przez wspomniany trzeci rząd. Rząd ten, podobnie jak dwa pierwsze, jest rządem Frontu Narodowego Czechów i Słowaków, reprezentującym świat pracy obu tych narodów we wszystkich jego składnikach: rolników, robotników, rzemieślników i inteligencję pracującą.

WARUNKI PLANOWANIA.

Na tle czechosłowackiego ustroju prawnego ustawa o planie dwuletnim jest zjawiskiem nowym, dotąd niespotykanym. W okresie bowiem przedwojennym brak było warunków sprzyjających prowadzeniu gospodarki opartej o plan. Możliwe zastosowanie zasady planowania powstała dopiero jako następstwo demokratycznej przebudowy polityczno - gospodarczego życia narodu. Dopiero nowy ustrój oparty na zasadach demokracji ludowej mógł powołać do życia system planowania, jako naturalną konsekwencję faktu przejścia władzy w państwie przez lud. Ta zdobycz ustrojowa znalazła swoje umocowanie materialne w postaci objęcia przez lud kierownictwa dziedziny gospodarczej państwa.

Bez podstawowych reform gospodarczych planowanie odcinka gospodarczego, znajdującego się w rękach rozlicznych dysponentów prywatnych, byłoby niemożliwe. Dopiero unarodowienie nie tylko wielkich jednostek produkcyjnych ale całych gałęzi życia gospodarczego stworzyło główny warunek planowania. I tak przez unarodowienie przeszło do rąk państwa 60 do 70 pro. czecho-

słowackiego przemysłu, cały aparat bankowy i ubezpieczeniowy, których działalność może być teraz bezpośrednio planowana. Jednakowoż nie tylko samo unarodowienie dostarczyło możliwości planowania; należy bowiem zwrócić uwagę na problem nowej organizacji i zarządu wewnętrznego unarodowianego zakreślenia życia gospodarczego, gdyż stanowi on o wytworzeniu właściwych narzędzi polityki planowania, które są w stanie zapewnić realizację planu dwuletniego. A więc poszczególne dyrekcje przemysłowe z centralnym kierownictwem unarodowionego przemysłu na czele, centralny zarząd banków, rada ubezpieczeń, to są nowe instrumenty planowania gospodarczego sektora państwowego; przeniesienie pewnej części agend administracji publicznej na nową organizację samorządu gospodarczego itd. daje gwarancję harmonijnej współpracy sektora unarodowionego i prywatnego w wykonaniu planu dwuletniego.

Jest to moment bardzo istotny, gdyż bez zaistnienia należytej organizacji planowanie gospodarcze nie byłoby dostatecznie realne. W tym wypadku sprawa polega nie tylko na dobrym opracowaniu planu, ale na jego wykonaniu i kontroli.

Najważniejszym jednak warunkiem zapewniającym powodzenie planu jest sposób i energia wykonania planu, czyli jak najwydatniejszy udział w nim szerokich warstw ludowych. Planowanie to nie tylko trafnie wyliczone sprawy, i nie tylko praca zamkniętego grona fachowców. Planowanie to przede wszystkim celowa działalność i jak najczynniejszy udział całej masy narodu w wypełnieniu przewidzianych planem zadań. Podstawowym założeniem planu czechosłowackiego jest stwierdzenie, że źródłem trwałego dobra narodu jest praca, że nowy porządek demokratyczny dostarczył potężnej podniety dla wysiłków pracy szerokich warstw ludu pracującego miast i wsi, dla którego rozwój gospodarstwa narodowego jest obecnie własną sprawą, a wszelka praca i wszelkie wysiłki przynoszą owoce należące do ludu.

PODSTAWOWE ZADANIA PLANU

Naczelną myślą dwuletniego planu jest podniesienie produkcji dóbr inwestycyjnych i konsumpcyjnych ponad poziom przedwojenny, celem polepszenia stopy życiowej ludności.

Zadanie to winno być osiągnięte przez osiągnięcie w rolnictwie pod koniec planu, tj. w r. 1948 poziomu produkcji przedwojennej, a w przemyśle przez przekroczenie z końcem r. 1948 o 10% poziomu produkcji z r. 1937.

Przewidziane w dziedzinie rolnictwa zrównanie produkcji z poziomem przedwojennym, pozwoli pokryć większą część zapotrzebowania żywności we własnym zakresie. Nie należy bowiem zapominać, że Czechosłowacja w całości nie była krajem samowystarczalnym żywnościowo i niedobór aprowizacyjny, pokrywała w drodze importu środków żywności.

Najcięższym punktem aprowizacji jest niedostatek tłuszczów i mięsa. Preto szczególną uwagę poświęca plan podniesieniu i ulepszeniu stanu bydła domowego, jak również zwiększeniu zasiewu i zbiorów paszy oraz roślin oleistych.

Czechosłowacja jest krajem o przewadze pozarolniczej; ludność rolnicza nie dochodzi tu nawet 40% ogółu ludności. Istnieje pewien niedobór sił pracowniczych w rolnictwie, którego pokryciu służy mechanizacja i elektryfikacja rolnictwa. Plan ma za zadanie budować we wszystkich powiatach stacje traktowo-maszynowe oraz rozszerzyć sieć miejscowych i rejonowych spółdzielni maszynowych. Maszyny mniejszych typów są przeznaczane wprost dla indywidualnych gospodarstw rolnych. Oczywiście jest rzecz, że sama mechanizacja, łącznie z elektryfikacją nie jest w stanie zastąpić niedoboru sił pracowniczych na wsi, dlatego też przedmiotem troski rządu jest wynajdywanie dalszych możliwości: zatrudnienia w rolnictwie potrzebnych rąk roboczych.

Jeśli chodzi o przemysł, to nie należy zapominać, że Czechosłowacja należy do krajów o zdecydowanej przewadze przemysłu, którego wartość produkcji przed wojną uczestniczyła w sumie dochodu społecznego blisko w 2/3 (ok. 65%). Stąd też zadanie planu, przekroczenia w produkcji przemysłowej ogólnego

poziomu przedwojennego o 10% jest dalszym krokiem naprzód po drodze rozwoju wysoko-przemysłowego.

W planie dwuletnim odbudowa właściwie rozbudowa przemysłu czechosłowackiego uwzględniła nowoczesne zasady planowania, przez należyte ustawienie hierarchii zadań i odpowiednią do tego koncentrację wysiłków największych w tych zwłaszcza gałęziach przemysłu, które są decydujące nie tylko dla całości przemysłu, ale i całej gospodarki narodowej, wpływając w sposób naturalny i szczególnie ciągi na należyty rozwój ogólny.

Na pierwszy plan wysuwają się: górnictwo (węgiel kamienny, koks, ruda żelaza, nafta), produkcja energii (prąd elektryczny, gaz świetlny), hutnictwo (żelazo surowe, stali, wyrobki walcowane, odlewy), przemysł metalowy (wytwórczość wagonów kolejowych i lokomotyw, traktory, samochody ciężarowe, maszyny rolnicze, budowlane, obrabiarki itd.), przemysł chemiczny (syntetyczne materiały pędne, nawozy sztuczne itd.), przemysł konsumpcyjny (materiały włókiennicze, obuwie itd.), przemysł konsumpcyjny żywnościowy. W całym szeregu wymienionych gałęzi produkcyjnych przekroczony będzie w r. 1948 poziom przedwojenny jak: w produkcji energii elektrycznej o 75%, w produkcji wagonów przeszło 1000%, traktorów 1500%, samochodów ciężarowych ponad 300%; w innych gałęziach produkcja osiągnie poziom przedwojenny, a to odnośnie: węgla kamiennego i stali. Ciężką jest, że nieistniejąca w ogóle przed wojną w Czechosłowacji produkcja materiałów pędnych, w trakcie wykonywania planu pokryje ogólne zapotrzebowanie przedwojenne tego kraju.

W zakresie przemysłów konsumpcyjnych jak np. we włókiennictwie, produkcji obuwia osiągnięty ma być poziom do wysokości przedwojennego zapotrzebowania; równocześnie będzie forsowany wywóz tych wytworów w takim stopniu, aby wartość wywozu była zdolna pokryć przywóz koniecznych surowców. Czyli, że w tym wypadku w kraju pozostaje cała wartość wytworzona w procesie uszlachetnienia od surowca do gotowego fabrykatu.

Z przytoczonych opisów wynika, że z ważniejszych przemysłów prawie, że nie będzie z końcem okresu planu gałęzi deficytowych w porównaniu z poziomem przedwojennym. Świadczy to w znacznej mierze o znikomych w porównaniu z naszymi zniszczeniach wojennych, co pozwala przemysłowi czechosłowackiemu w tak krótkim czasie dojść jeśli nie do pełni, to przynajmniej normalnej, pokojowej zdolności produkcyjnej.

Potwierdzenia różnicy w zniszczeniach wojennych u nas i w Czechosłowacji dostarcza dziedzina budownictwa, w zakresie której u nas w okresie planu, trzyletniego zaledwie możemy sobie pozwolić w zasadzie na remonty i odbudowę, przesuwając rozwiązanie właściwego problemu mieszkaniowego do okresu następnego narodowego planu gospodarczego. Dwuletni plan czechosłowacki obejmuje nie tylko remonty i odbudowę (jakże zresztą małych zniszczeń), ale i nowe budownictwo, zarówno mieszkaniowe jak i produkcyjne (w rolnictwie i przemyśle), gmachów publicznych w dziedzinie wodnogospodarczej, komunikacyjnej, zdrowotnej itd.

Jednym z ważniejszych zadań planu jest dokończenie procesu osiedleńczego ziem pogranicznych, które po wysiedleniu stamtąd Niemców, mogą pomieścić 2 i pół miliona osadników.

Struktura gospodarcza Czechosłowacji nie jest jednolita, gdyż zawiera kraje o różnym poziomie rozwoju. Od wysoko uprzemysłowionych Czech, Moraw i Śląska, odbija wyraźnie Słowacja, jako kraj rolniczy. To też plan dwuletni przykładają dużą wagę do problemu zagospodarowania tego kraju w kierunku przybliżenia go do poziomu gospodarczego innych krajów czeskich. Chodzi o wytworzenie tam warunków pozwalających na pełne wykorzystanie istniejących źródeł energetycznych i surowcowych i rezerw ludzkich nieproduktywnie dotychczas zajętych (jak to zwykle bywa w krajach rolniczych i zacofanych) w kierunku uprzemysłowienia Słowacji nie tylko, ale i przez wprowadzenie tam przemysłu nowoczesnego. Do tego też zmierzają zaplano-

wane inwestycje sięgające kwoty ponad 22 miliardów koron na ogólną sumę inwestycji w planie wynoszącą prawie 70 miliardów koron. W stosunku tych sum widać należyte docenianie problemu podźwignięcia gospodarczego Słowacji.

Słowacja posiada szereg naturalnych warunków, sprzyjających industrializacji. Już obecnie prowadzi się tam dalej rozpoczęte uprzednio prace nad budową zapór i hydrocentral na licznych rzekach górskich. Po wykonaniu wszystkich przedsięwziętych elektrowni wodnych, co ma nastąpić w r. 1952, wzrośnie trzykrotnie produkcja energii elektrycznej w Słowacji. Będzie to miało m. in. wielki wpływ na wzmocnienie procesu elektryfikacji wsi słowackich, które dotychczas ani w połowie nie korzystały z energii elektrycznej. Zwiększenie wydobycia rud i węgla, wykorzystanie bogactwa drzewnego, rozbudowa przemysłu materiałów budowlanych, to dalsze elementy tego samego zagadnienia. Godzi się również wspomnieć o bazach surowcowych słowackich dla rozwoju nowoczesnego przemysłu żywnościowego. Ponadto w okresie planu dokonana się proces przesunięcia urządzeń maszynowych dla zakładów przemysłowych z Krajów czeskich na Słowację. W ten sposób plan dwuletni ma stworzyć podwaliny pod uprzedmiotwienie najbardziej zacofanego kraju Republiki.

Nie tylko Słowacja jako całość stanowi teren zaniedbany gospodarczo. Na terenie bowiem samych krajów czeskich, znajdują się rejonu stosunkowo cięższej niż inne dotknięte wojną, względnie gospodarczo zacofane w stosunku do przeciętnego poziomu całości. Określi takie znajdują się w różnych stronach kraju. Plan ma za zadanie udzielić nadzwyczajnej pomocy okolicom zniszczonym oraz roztoczyć specjalną pieczę nad okręgami słabymi gospodarczo, głównie przez przeniesienie, względnie założenie tam przemysłu dla podjęcia lub wzmocnienia eksploatacji lokalnych zasobów surowcowych i wchłonięcia miejscowych sił roboczych. Chodzi w tym wypadku o taki przemysł, który nie wymaga specjalnych inwestycji budowlanych i maszynowych dostaw surowców jak: przemysł żywnościowy, drzewny, farmaceutyczny, elektromechaniczny itp.

W ten sposób plan dwuletni zmierza do wyrównania struktury gospodarczej całego państwa.

Ogólna suma inwestycji objętych planem dwuletnim sięga prawie 70-ciu miliardów koron. Suma ta dotyczy inwestycji w dziedzinie administracji państwowej, samorządu oraz odcinka gospodarki upaństwowionej, unarodowionej i prywatnej. Z podanej sumy przypada na przemysł ponad 25 miliardów koron, na rolnictwo ponad 5 miliardów kor., na komunikację 15 miliardów kor., na budownictwo mieszkaniowe 14 miliardów kor., na budowę ziemie, wodnogospodarcze, komunikacyjne i budowę publiczne ponad 10 miliardów koron.

WARUNKI WYKONANIA PLANU

Najważniejszym bezspornie warunkiem wykonania planu dwuletniego jest istnienie dostatecznej liczby sił pracowniczych. W przedwojennym życiu Czechosłowacji zaistniały fakty, które wytworzyły brak sił roboczych. W samych tylko krajach czeskich po wysiedlonych Niemcach pozostało do dyspozycji rolników czeskich około 1.300.000 ha ziemi rolnej, na którym to obszarze powstaje przeszło 100.000 nowych czeskich gospodarstw rolnych. Przez wysiedlenie Niemców i Węgrów przemysł czechosłowacki utracił znaczną liczbę pracowników. Ogółem oblicza się, iż w związku z wypełnieniem zadań planu potrzebna jest wewnętrzna migracja zawodowa, sięgająca cyfry 600.000 osób, a mianowicie: do przemysłu około 270.000, do rolnictwa i leśnictwa około 230.000, do budownictwa około 90.000 pracowników.

Osiągnięcie tego zadania może być dokonane dwoma zasadniczymi drogami: 1) przez włączenie do pracy produkcyjnej tej części ludności, która dotąd nie była zatrudniona, a mianowicie młodzieży, zatrudnienie większej niż dotąd ilości pracujących zarobkowo kobiet, osób zdolnych do pracy lecz dotąd nie pracujących, wreszcie osób z obniżoną zdolnością do pracy; 2) przez wewnętrzne przesunięcia w samym aparacie zatrudnienia, tj.

przejście pracowników zatrudnionych dotąd z bębnie do tych dziedzin, które potrzebują ich pracy oraz przesunięcie sił fachowych do właściwego zatrudnienia. Popierana również będzie repatriacja rodaków z zagranicy.

Oprócz tych zagadnień z zakresu polityki zatrudnienia dalszym środkiem przewidywanym jest braku sił roboczych jest podnoszenie wydajności pracy, przy czym szczególnie nacisk kładzie się na zastąpienie pracy ręcznej maszynową wszędzie tam, gdzie to jest możliwe, oraz na stosowanie systemu płac akordowych z odpowiednią ochroną poborów, wynikających z zwiększonej wydajności przed wysokimi podatkami. Postulaty planu dążą do pod-

wyższenia wydajności pracy przeciętnie o 10% w końcu r. 1948 w porównaniu z rokiem 1937.

Z dalszych warunków wykonania planu należy wymienić należytą organizację aparatu tak w dziedzinie produkcji, jak i dystrybucji, zarządzenia zmierzające do pełnej stabilizacji waluty, wreszcie zagadnienia dotyczące polityki finansowej i organizacji finansowości, w której finansowanie inwestycji oddzielone jest od finansowania bieżącego i przekazane specjalnym zakładom inwestycyjnym, a poszczególne sektory produkcji posiadają odpowiedzialni w aparacie finansowym w postaci specjalizacji banków dla osiągnięcia prostszej

kontroli wydajności i gospodarności przedsiębiorstw poszczególnych sektorów gospodarczych.

PRZEPROWADZENIE I KONTROLA PLANU

Podobnie jak gospodarka administracji publicznej, tak i gospodarka przedsiębiorstw narodowych — jako podstawy planowej gospodarki — podlega kontroli najwyższego organu demokracji ludowej: Zgromadzenia Narodowego. Niezależnie bowiem od kontroli wykonania planu z punktu widzenia jednolitości planu dwuletniego przeprowadzonego przez prezydium rządu, chodzi o specjalną

komisję wyłonioną z konstytucyjnego Zgromadzenia Narodowego dla kontroli wykonania planu a wyposażoną w odpowiednie prerogatywy kontrolne.

Dwuletni Plan Republiki Czechosłowackiej, podobnie jak nasz 3-letni Plan Odbudowy, podobnie jak wszystkie plany demokratycznych narodów, ma za główny cel podniesienie stopy życiowej narodu. Wykonywany rękami ludu pracującego służy swymi wynikami tyko ludowi, jest jego własnością i własnym, skutecznym instrumentem samopodnoszenia się ludu gospodarczo i kulturalnie na lepszy i doskonalszy poziom życia coraz bardziej ludzkiego.

Julian Rataj

Ludwik Łakomy

CHŁOPSKIE DROGI DO MORZA

1. PIONIERZY MYŚLI MORSKIEJ W POLSCE

Mało jest w publicystyce naszej, dotyczącej morza, tego rodzaju wypowiedzi, jak artykuł wstępny kontradmirała Włodzimierza Steyera w numerze pierwszym wznowionego po wojnie organu polskiej marynarki wojennej. Zwiększył a dobitnie autor wywodzi, że „myśl morską, która istniała przed wojną w Polsce, c. kreślana najczęściej jako „mocarstwowa myśl morską”, kształtowana na zasadzie nieprzytomnej wiary w faszystowską Europę, jest dla Polski Demokratycznej nie do przyjęcia”.

Dlaczego? Oto dlatego, że „każdy, kto używał swoich oczu na to, aby widzieć, aby potem słusznie przewidzieć, musiał uprzytomnić sobie, że ta myśl morską nie służyła celom polskim, a celom jakiegoś, wtedy jeszcze nieujawnionego mocarstwa, gdyż tylko niedorozwinięty politycznie Polak mógł w okresie przedwojennym uważać swój kraj za mocarstwo”. (Przegląd Morski, Nr 1/126 1947).

Dopiero gdy „puszczona z Lenino bohaterka I Armia W.P. po ciężkim łuku sławnej, niepowstrzymanej Armii Czerwonej, zmogła Wał Pomorski, a kosztem wspólnie przelanej krwi Naród Polski stał się gospodarzem 500 km wybrzeża i odzyskał, od wieków za grabione ziemie piastowskie”, dopiero wówczas „Naród Polski zwrócił się nie twarzą, jak ongiś, ale myślą ku morzu”.

Była jednak warstwa Narodu, która już dawno myśli swe zwracała ku morzu i zamorzu. Był to, określony mianem rzeczownika zbiorowego przez Marię Dąbrowską „Wielki Nieznany Chłop, którego nazwać warstwą narodu — to właściwie za mało. Gdyż stanowi on tak olbrzymią większość narodu, że czytając jego rozpamiętywania naród siebie samego dopiero w pełni poznaje, ogląda i rządzi”.

2. PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

Bolesną, chociaż krzepiącą lekturą są wydane w 1939 r. przez Instytut Gospodarstwa Społecznego „Pamiętniki Emigrantów”, w których ludzie, od lat i na zawsze oderwani od ojczyzny, podjęli ciężki, niepraktykowany dotąd przez nich trud spisywania spowiedzi ze swego życia — nie dla nagrody, lecz prawie zawsze z poczucia, iż opisując swe przeżycia dają świadectwo prawdzie, informują, ostrzegają, słowem — służą czemuś, co ma znaczenie ogólne, czemuś, co jest ważniejsze niż osoba autora i jego losy.

Warstwa narodu, która „żywi i broni”, pracujący lud polski — robotnicy i chłopci, w lat kilkanaście zaledwie po uwłaszczeniu wysłał bardziej rzutkich z swego grona do wytwórni Stanów Zjednoczonych, co puszcza Brazylia i Kanady, gdzie ci wywędrowcy i wydziale dziecięcy nabywają nieznanego rozmachu, jak gdyby wstąpiły w nich duchy zapomnianych Wyrwidębów, z tą różnicą, że w tych zamorskich stronach nie o dęby chodziło, lecz o gęstwiny lasów dziewiczych, wśród których pozostały między innymi drzewa oporniejsze od dębów. Każdy z nich nieledwie, w obliczu morza, które go dzieliło od Ziemi Obiecanej, wzdychał:

„Chłopie polski! Ty wieczny wysławco piastowskich cnót, czyżby twoim posłannictwem było zmaganie dziewiczych borów? Począwszy od nadodrzańskich przez mazurskie, przez Podkarpacie i Śląsk, okrążyłeś i zdobyłeś szerokim zasięgiem kotłinę Sarmacką dla kultury chleba; stworzyłeś wspaniałą ojcowiznę lechicką i teraz po tysiącletniej twej pracy dla ciebie brak w niej miejsca i chleba? Tam zostawisz swoją kądziel, z której przedświ swoją szarą nie przez wszystkie dni historii narodu polskiego. A teraz idziesz za oceany szukać nowego wątku dla twej przędzy”.

Każdy z nich, jak pan Balcer Konopnickiej, wznawał w obliczu morza:

„Więc kiedyś stanął na onym pokładzie. Na pewnych nogach i szeroko w kroku. Tom się pocieszył, że już na zawadzie. Nie będzie teraz nic, nawet łza w oku”.

Przebywszy Atlantyk, chłop po niejakiemu czasie stwierdzał: „I co tobie, Polsko, po takich dzieciach, rozsypanych po świecie? Ile to my tutaj wypracujemy produktów, które potrzebuje Polska, a jakoś nie można nawijać tych nici”.

Są i tacy, którzy stwierdzają: „Jak byśmy mieli morze, nie tułilibyśmy się po obcych łąkach”.

A czy nie pionierem myśli morskiej jest ów emigrant — robotnik z Łodzi, który w dziele Rio Grande do Sul zymna się na „to polskie — jakoś tam będzie” i podkreśla, że owe hasło życia szlacheckiego „prowadziło wciąż jeszcze prowadził Polaków... do niejakego znaczenia w koncercie życia ogólnego”. Wyznaje: „założyłem klub piłki nożnej pod nazwą „Kwiat Morza”, bo... to morze zawsze

mi siedziało w głowie i bez niego nie mogliem sobie wyobrazić Polski”. Stwierdza: „za to, że nawet negier mówił — „Polak nie ma chęci” — „Polak sprzedał albo zamienił Polskę na bezkę iotu” — „Polak gówniany” — „Polak do niczego niezdolny” — i inne obrzydliwe i poniżające epitety, ponosili odpowiedzialność Niemcy i tylko Niemcy. Już przedtem miałem pewne uprzedzenie do Niemców — w Porto Alegre ono zamieniło się w nienawiść. Tymczasem, jak świadczy emigrant z Parany „dopóki Brazylia nie znała Polaka, była ciemna jak tabaka w rogu”, bowiem „Polska, to jest ładna i młoda panna w jedwabiach, kraj złocisty, a Brazylia, to jest stara, obdarta, a do tego i ślepa wiedźma, kraj dziki, bez żadnej kultury i wychowania”. Dlatego „gdybyśmy byli jaskółkami, to byśmy dawno stąd poleciali, ale niestety, jesteście ludźmi, to trudno, a pieniądze na razie nie ma na powrót i nabyć ich wprędce nie możemy, a jeszcze gdyby nie ta kałuża taka duża, to dawno by my powędrowali na piechotę do swojej ojczyzny, do której tęsknymi dzień noc, a na wspomnienie o kraju, łzy oczy zalawają”.

Jakie były chłopskie drogi do morza i za morza, które nieledwie każdy emigrant streszcza w pragnieniu i radzie: „Chciałbym powrócić do kraju i złożyć kości na polskiej ziemi. Przecież polskie ziemie zawierają węgiel, kruszcze, sól i pszenicę. I ci emigranci, którzy powracają do kraju jako synowie marnotrawni — powinni się pomieścić”.

Chciałoby się tu przytoczyć większość wypowiedzi emigrantów. Są one o wiele bardziej ciekawe od tzw. utworów marynistycznych nie tylko Zbylitowskich, Kochanowskich, Borzymowskich etc., ale nawet Konopnickiej, Stępskiego czy choćby Żeromskiego.

Ważny np. wypowiedź o podróży morskiej kowala w Paranie, syna rolnika z powiatu opatowskiego: „oto wypełznął nasz „światek” pływający do kanału La Manche w kierunku zatoki Biskajskiej, przez którą płynął cztery doby przy asyście silnej burzy i balwanów wspinających się na pokład, że wtedy przychodził mi często na myśl Jędrzek Kuczaba z przygód Florka Kurzawy, zmieciony falą do morza. Na spienionych grzywach balwanów szukałem i chciałem ujrzeć widmo chłopca polskiego na szlaku jego wędrówki za ziemią i chlebem”.

A teraz tworzywo dla nowego „Pana Balcera”:

„Po dwudziestu dniach podróży ukazała się na poziomie wody linia brzegów ładu brazylijskiego, potężniejąca z każdą chwilą. Po paru godzinach wpłynął nasz „Würtzburg” do portu Zbawiciela (Sao Salvador) w Bahii. Władze celne i sanitarne przeprowadziły formalności prawne i przystąpiono zaraz do wyładowywania towarów”.

W okresie było dwóch emigrantów chorych przez całą podróż morską, których ukrył przed komisją sanitarną: chorzy pierwszej nocy w porcie zmarli; skutek był taki, że władze miejskie nie pozwoliły zmarłym po-

chować na lądzie. Zabroniono wyładowywania towarów, okręt uznano za zakażony.

Pod nadzorem statku wojennego odprowadzono nasz okręt na pełne morze, żeby po grzebać zmarłych. O dwunastej godzinie w nocy wstrzymano maszyny okrętu, grupa marynarzy wyniosła dwa pudła ze zmarłymi na tył pokładu. W asyście oficerów przyszedł kapitan, marynarze odśpiewali jakąś pieśń żałobną, po której kapitan, Niemiec, przemówił do rodzin po zmarłych słowami pociechy po polsku i spuszczone trumny na fale morza oświetlonego światłem księżycy. Okręt drgnął lekko, zaczął się oddalać. Tym razem przez chwilę widziałem rzeczywiste dwa widma na szlakach wychodźców polskich”.

To wszystko, co wyżej przytoczono, to nie tylko tworzywo literackie — to niezwykle ważny materiał socjologiczny.

3. CHORWAT BEZIMIENNY A JAN ALEKSANDER KRÓL

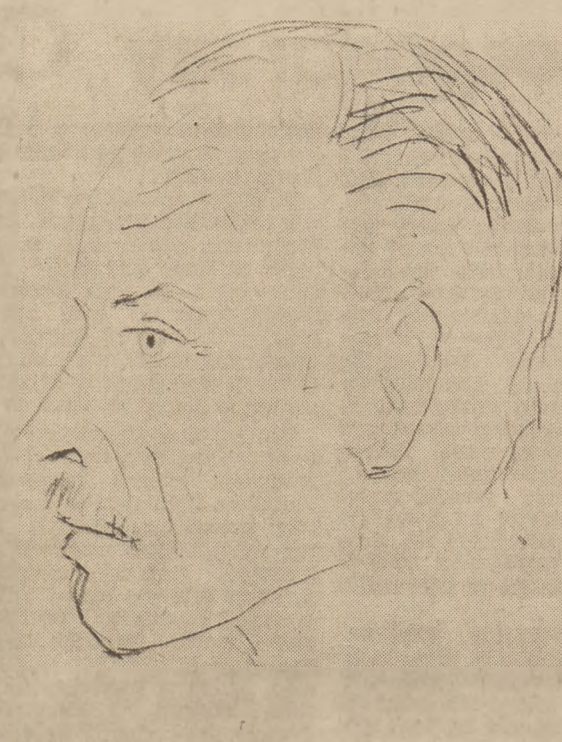
Dobrze się stało, że podczas Zjazdu Pisarzy „Wsi” w Rytwianach Ozga-Michalski podkreślił ludowość a raczej chłopskość kroniki Galla Anonima, którego właściwie miano winno brzmieć: Chorwat Bezimienny. Jeszcze lepiej jest, że J. A. Król w swym dziele pt. „Drogowskazy na manowach kultury ludowej” podkreślił nieścisłość poglądu prof. Pigonia o „pełnej osobowości” chłopca, która jakoby winna się urzeczywistniać w typie „gospodarki naturalnej” zdążając do „prymitywu samowystarczalności”.

I za Królem twierdząc, że „fałszywy to wzór” i nie sposób go zachować „nie odrzucając cywilizacji technicznej i nie wracając do nieistniejącego już systemu gospodarczego kultury ludowej”.

Między przekazem Chorwata a „Drogowskazami” Króla istnieje w tej chwili przepaść nie do przebycia i postulowany przez prof. Pigonia nawrót do Chorwatowego wzorca o „kraju naprawdę bardzo lesistym, ale dość przeciętnie obfitującym w złoto, srebro, chleb i mięso, w ryby i inioł... gdzie powiaterze zdrowe, rola żywna, las miodopłynny, wódki rybne, rycerze wojowniczy, wieśniacy pracowici, konie wytrzymałe, woły ciężkie do orki, krowy mleczne, owce wełniste”, jest tak niemożliwy, jak niemożliwym jest nawrót do państwa szlacheckiego wobec istnienia społeczności ludowej. Między szlachetczyzną a ludowością tkwią dwa Kołobrzegi, z których drugi uniemożliwia nawrót do Chorwatowego wzorca.

4. OD KOŁOBRZEGU W 1105 R. DO KOŁOBRZEGU W 1945 R.

W sobotę rannym braskiem zbliżyli się już do miasta Kołobrzegu i pobliską rzekę przebywszy wśród niebezpieczeństw, bez mostu lub brodu, by nie zwrócić na siebie uwagi pogan, uformowali następnie szeregi, a dwa szyki ustawivszy z tyłu na pomoc, tak by przypadkiem o tym się poganie przedweznie nie dowiedzieli i nieprzygotowanych nie napadli, ponęli wszyscy jednomyślnie chęcią



Ludwik Łakomy

rys. St. Gierowski

natychmiastowego napadu na miasto, opływające w dostatki i umocnione strażami

...Bolesław rycerzy swych, jakkolwiek utrudzonych całodziennym szturmowaniem zaledwie pod wieczór i to z użyciem grózb, zdołał odwołać od walki. Odwołałszy zaś rycerstwo i złupiwszy podgrodzie, odstąpił stąd Bolesław za radą starego Michała, za mury, spalivszy przedtem wszelkie zabudowania. Wstrząśnięty tym wypadkiem cały naród barbarzyńców przeraził się gwałtownie, a sława Bolesława daleko i szeroko głoszona rozpowszechniała się. Stąd też uarta się powszechnie piosenka ułożona ra tym tle, w której dość przystojnie dzielność ową i odwagę podniesiono w te słowa:

„Naszym przodkom wystarczały ryby słone
i cuchnące —
My po świeże przychodzimy w oceanie
pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów
dobywali,
A nas burza nie odstrasza, ni szum groźny
morskiej fali;
Nasi ojce na jelenia urządzali polowanie, —
A my skarby i potwory łowim, skryte
w oceanie!”

(Gall, wzgl. Chorwat, II 28)

Jak prędko rycerze przyszedli, tak jeszcze prędkiej odeszli, nie dlatego, ażeby ich kto z Kołobrzegu wypędził, ale po prostu nie chcieli tam pozostać. Dziś określane polityki piastowskiej jako tej, która rzekomo dążyła z nieublaganą konsekwencją do utrwalenia władztwa Polski w kacie utworzonym przez dolny bieg Odry i biegnące na wschód od jej ujścia do morza wybrzeże Bałtyku, jest w istocie nadmiernym uproszczeniem, choć użytecznym chwilowo jako slogan. Takim samym uproszczeniem, wręcz zakrawającym na drwinę z prawdy dziejowej, jest przypisywanie duchowieństwu polskiemu przez historię rola uchrześcijania Pomorza Zachodniego. Choć zaistniało wówczas prężające się dla świata germańskiego widmo potęgi zjednoczonych Słowian Zachodnich, mimo że Pomorze płaciło daninę Krzywoustemu, uznając jego zwierzchnictwo i pokójem z r. 1120 przyjmując na się zobowiązanie przyjęcia chrześcijaństwa z rąk Polski, to groźne widmo nie przyobiekto się w kształty rzeczywistości z winy kleru polskiego. Naonczas państwowe usiłowania Niemiec były nieznaczące, natomiast misjonarstwo niemieckie na Pomorzu stanęło na wysokości swego zadania, jakby wiedząc, że trzeba przede wszystkim mieć za sobą lud, bo mając raz poparcie w masach nie trudno, pozyskać panujących.

Niestety, duchowieństwo polskie nie okazało się ani w części równie użytecznym sprawie swojego narodu. Jak podkreśla prof. J. K. Kochanowski: „Polscy księża nie byli bynajmniej podówczas skłonni do oddawania się na usługi interesom państwowym za cenę wielkich niewygód, a może męczeństwa wśród wypraw apostołskich na dalekie Pomorze. Wyzwolony spod przewagi Magdeburga, dążył ówczesny zawłazek potężnego potem w Polsce kleru do kolejnego wymacowania się spod władzy świeckiej. Wskazywało mu te cele rozwielenione w epoce krucjat duchowieństwo zachodnie”.

Także i polski stan rycerski był obcy temu zadaniu. Drogę do morza torował wówczas tylko chłop polski. Wszakże była to doba, kiedy Chorwatowy „kraj bardzo lesisty” lesistym być przestawał, bo głównie Wisłą całe lasy płynęły do Gdańska, który się przede wszystkim bogacił, zdobywając już wtenczas miano „Chłańska” i pochłaniając wszystkie korzyści handlu, tak skwapliwie oddawane przez możnowładców polskich do skarbców niemieckich. Z polskiego drzewa, spławianego przez orylów — chłopów polskich w dół Wisły, budowały się floty hanzeatyckie, angielskie i holenderskie, a najprostszym sposobem osiągnięcia doraźnego zysku było paliwo lasów na potaż. „Gdzie spojrzeć wszędy tabłą, albo buk do hut, albo sośnia na smołę, albo dąb na szkuty” — pisze autor „Wojny chołmskiej”. Możliwość spławu drzewa przyczyniła się do wylesiania znacznych obszarów i rozwoju przemysłu leśnego, a w ślad za tym zdobywania obszarów pod uprawę.

Równoległe z potężnym rozwojem handlu drzewem rozwija się handel zbożem, spławianym takimi rzekami, o których spławności obecnie nie ma nawet mowy. Opłacalność produkcji zbożowej była taka, że dawało się zboże końmi do rzeki spławnej nawet wtedy, gdy dana okolica od rzeki była dość odległą. Dzięki wzrastającemu zapotrzebowaniu zboża w Europie, na rozległym dorzeczu Wisły i części Odry (Warta) rozpowszechniają się

(Ciąg dalszy na str. 4-9)

POEZJA DLA DZIECI

Od Redakcji.

Problem poezji dla dzieci poruszony swego czasu we „Wsi” okazał się o tyle żywo, że nie ograniczył się do teoretycznej dyskusji. Oto sześć wierszy pisanych dla dzieci przez sześciu różnych autorów — współpracowników „Wsi”.

Prawie każdy z wierszy opiera się na innym wzorze poetyckim, wyrasta z innego nurtu literackiego. Mamy tu skalę — od prostego, ujętego dramatycznie obrazka, poprzez

żart słowno - poetycki aż do liryki refleksyjnej, posługującej się wypracowanymi przez awangardę środkami stylistycznymi aż do nieregularnej prozy poetyckiej, w której słowo wyjęte z rygoru rytmicznego i rymowego posiada tym większy walor znaczeniowy.

Łączy je wszystkie traktowanie czytelnika — dziecka jako odbiorcy kulturalnego — poważnie, bez chęci oklamania go przez podawanie mu za poezję takich wytworów, które

na rynku literackim są bezwartościowymi odpadkami.

Ponadto wiersze te przeważnie przemawiają do dziecka wiejskiego, uwzględniają odrębność jego spraw życiowych, jego wyobraźni i otaczających je realiów. W tym sensie próby te są chyba pierwszymi rewolucyjnymi zdarzeniami w literaturze dla dzieci. W utworach Marii Konopnickiej dziecko wiejskie zjawiało się tylko jako obiekt filantropii dla pań.

Zarzuty wysuwane w dyskusji pod adresem zwolenników ucziwej poezji dla dzieci, jakoby wiersze podobne były dla dzieci niezrozumiałe, pozostają nadal niesprawdzone. Nie wystarczy dziecku przyzwyczajonemu do katarynkowej bzdury odczytać wiersz Stolarskiego czy Murasa i z reakcji dziecka wnioskować o czytelności wiersza. Dziecko — jak każdy czytelnik — uczy się literatury. Chcielibyśmy go uczyć na wzorach dobrych,

Bronisław Marcinek

NOWY CHLEB

Matka na łonie chleb kraje nowy
I dzieciom wręcza po dużym kromie,
A dzieci wzniosły do góry głowy,
Patrzą na chlebek pulchny łakomie.

Patrzą i proszą: „Mnie mamó jeszcze“..
„Cicho dzieciarnia, a to skaranie
Boskie na ziemi, ja wam powrzyszczę!
Nie braknie dzisiaj... każde dostanie...”

Ja wiem i sama komu potrzeba
Najpierw ukroić. Masz Jasiu“ — rzecze
Dając Jasiowi duży krom chleba.
„Mamo, gorący o, jeszcze piecze“...

„To se podmucha, masz wiatr w gębie.
A prawda, Łodka, zawołaj taty,
Niech również przyjdzie, bo dziś na zębie
ojciec nic nie miał“... Wchodzi do chaty

Żądany ojciec i w progu rzecze,
Ale w wesołej nucie do żony:
„Jak tam kobito, chleb się już piecze?“
„E, kochanie, już upieczony“.

Zygmunt Stolarski

ROZMOWA Z CHORĄ DZIEWCZYNKĄ

Nie smuć się. Nóżkę naprostuje lekarz.
W białym pokoiku troszeczkę poczekasz,
pan doktor obejrzy, postuka, a boleć nie będzie. —
nie boli malwę, gdy motyl na płatku usiadzie.

I nóżka będzie prosta. Nikt już nie popatrzy
na nią, gdy mówić będziesz wierszyk o trębaczu,
albo o gąsce co piórka zgubiła — tylko w twoje oczy,
tylko na sukienkę i wstążki w warkoczach.

Nie upadniesz już nigdy, gdy z dziećmi z kolonii
gonić będziesz latawca z błyszczącej cyntolii,
albo w grze w chowanego, we wróżkę — i wszędzie
gdzie dzieci pobiegną, tam ty z nimi będziesz.

Wcale nie jesteś chora. Ten pan zażartował,
a doktor co żartuje, to zwykły konował.
Choć chodzi w białym kitlu i ma okulary,
nie jest wcale doktorem taki grubas stary.

Za cóżby ktoś miał karę tak okrutną
zesłać na ciebie? Za dzieciństwo smutne,
za ziemniaki na obiad suche, niemaszczone,
jałowe zbiory ojca na szczupłym żagonie?

A teraz odpocznij. Dzieci niech zostaną.
Wzmem cie na ręce. Jutro przyjdzie mama —
i wszystko czego pragniesz, spełni ci się jutro.
A jeśli będziesz smutna — i mnie będzie smutno.

Tadeusz Chróścielewski

ŻAR - PTASZEK

Splynął na jabłoń,
Jabłoń zapłonął,
Złotym grosikiem
W kółko zadzwonił,

Aż się zdziwiły
Naokółeczko
Mszyce gryzące
Szparki listeczkom.

Nie wiem, czy w bajkach
Jest zwyczaj taki,
Że dają koncert
Złote żar — ptaki,

Ale mój ptaszek
Zwyczaj ów miewał
Ruszał gardziołkiem
I głośno śpiewał.

A ja włożyłem
Cudne koronki,
W kolorze bratka,
W barwach biedronki,

Dzwoniącą szpadę
Wyciąłem z chmielów,
Włożyłem na nią
Z dzwonek kapelusza

I wyglądałem
— Choć się nie chwalam —
Jak najprawdziwszy
Dwonek walec.

Pytałem głośno:
„Ptaszku, nieboże,
Czemu odlatasz
Za Czarne Morze?”

W gniazdo różane
Ptaszka otule,
A zamiast grządkki
Dam kampanule,
Bylebyś brzdąkał
Przyjaciółczkom
Złotym głosikiem
W złote kółeczko.

Uciekl mi z ręki
Skrył się w czastuszkach,
Tylko zostawił...
Kwaśne jabłuszka.



Tadeusz Muras

M Ł Y N

Co zbudujesz z tych patyków, Janku,
że ich strużesz dzisiaj tak wiele?
Jedne stawiasz pod ścianą, żeby doschły w słońcu,
inne chowasz pod wozem i palce brudzisz o koło smarem.

Te największe wyciągnąłeś spod szopy;
miały służyć na trzonki do motyka.
Zanim ojciec zauważy stratę drzewa,
pokażesz mu gotową budowlę.

Wczoraj tatuś opowiadał w domu,
że młynarz bierze za dużą miarkę od mielenia żyta,
ty obiecałeś młyn wybudować własny.

Ale skąd kupisz kamienie młyńskie, żeby tarły ładną mąkę?
Pewno ojcu poginą wszystkie oselki z okienka.
Koło odejmiesz Basi od wózka;
Będzie je poruszała woda z rynny.

Młyn twój będzie mełł drobne ziarenka pszenicy,
które siostrzyczka przyniesie w obydwu rączkach.
Nadąży mlec tylko na małe bułeczki,
i braknie ich nawet dla malca, którego kolyszysz długo, by zasnął.

A kiedy trzeba będzie upiec duże bochenki chleba,
ojciec w białych workach musi zawieźć żyto do młynarza.

Młynarzu!
Nie bierz tak drogo od ludzi za mielenie żyta.

Anna Kamieńska

RYMARZ

Tu jest sklep rymarza oznaczony mo-
siężną literą nad drzwiami
Rymarz robi

zaprząg dla konia, który patrzy wil-
gotnym okiem na drzewko przed
sklepem,

skórzaną portmonetkę do błękitnej
kieszeni wuja, z której wystaje
także róg krochmalonej chustki i
słownik angielski,

tornister dla grubego chłopca, w któ-
rym nosi on bułki, kasztany i
ostatni list od matki: kochany,
synku...

walizkę, którą zaraz porwie pęd po-
ciągu i zanieś aż tam, gdzie kro-
pla morza pozostawi na skórze wa-
lizki zielonkawą plamkę

i inne jeszcze przedmioty, których dobrze
nie widać w cieniu sklepowego wnętrza.

DALEKO na horyzoncie, z poza sieniej wstęgi zębatego lasu, wysuwała się ogromna, czerwona tarcza słońca i płynęła po szarym niebie coraz wyżej. Piaszczystą, polną drogą, ciągnęły leniwym truchtem trzy furmanki. Na każdym wozie, między sterzącymi rogami kłonic, siedział na nagim rozwodzie chłop, oparty nogami o zwisający, między przednią a tylną kłonicą, łańcuch.

Pod górę konie zwolniły kroku, parsknęły kilkakrotnie i szły sobie stępą kiwając do taktu kopyt ciężkimi łbami. Środkowy chłop zeszedł ze swego wozu, a zaraz za nim zrobił to samo i ostatni. Pokracznie jakiś zbliżali się ku sobie, znać od niewygodnego siedzenia zdrętwiali im nogi. Ale po kilku niezadarnych krokach szli obok siebie za ostatnim wozem zupełnie już do brzo. Sięgnęli do kieszeni po bakon i, zwalnając co chwilę, lub na moment przystając, kręcili po papierosie. Naraz jeden z nich, mocnym jak grzmot głosem, zawołał:

— Hej!... Szymonie!... Zapalmy se cygara!...

Jadący pierwszym wozem Szymon budzi się z zamyślenia, zeskakuje z wozu, zakręca lejce za kłonicę i dołączywszy się do swoich towarzyszy, związa cygaro; rozglądając po tym wierzchem dłoni wypłowił swoje wąsy, wytka w usta papierosa i, razem idąc, puszcza dym.

Dokoła, jak okiem sięgnąć, czernią się ślady wojny, a zwłaszcza ostatnich jej bojów, które rozgrywały się tutaj na śmierć i życie. Kolor rzeki nie jest już co prawda krwawy — było to rok temu, prze-filtrowała się woda już do czysta. Ale porzucane czołgi, porozbijane auta, porzucone armaty, zrujnowane do fundamentów lub popalone wioski znaczą się jeszcze gęsto na czystej zieleni pól.

Walenty przytrzymał Szymona za rękaw, żeby przypalić zgasłego papierosa, a przypalwszy zagadał:

— To już wama ino tragarzy potrzeba... dzisiaj przywieziemy i fertig!...

— O, nie tylko tragarze... trza mi jeszcze na deski — na powaly i podlogi. Są to okropne kłoce i do tego w bagnie leżą. Skoro dziś jesteście w trzeach, to możebyśmy spróbowali je wyciągnąć, co?

— A wyciągniemy, czemu nie... A gdzie myślicie przecierać na deski?...

— A w tartaku naszej Samopomocy. Przecie i blisko i tanio i szybko i robota piękna...

— Ino patrzeć, a Zgorzelice z ziemianek wylizają, — przerwał Walenty wskazując na ciągnący się opodal drogi długi szmat gruzów i rumowisk wśród których dość gęsto bielili się zręby nowych budynków.

— A daj im Boże szczęście — perswadował — Jędrzej — wylizają Zgorzelice, wylizają Poręby, wylizają Wólka, Brzezówka, Polanka, wylizają Warszawa i tak niedługo wylizamy wszyscy — cały naród, cała Polska — świat cały...

— Tak, jeno biedny, pracujący naród całuśkiego świata baczyć powinien, żeby znów jak Lucifer po tym świecie grasować nie zaczął — powiedział Walenty... i wszyscy na chwilę zaniemówili...

— Słuchajcie Szymonie — przerwał milczenie Andrzej — a co tam tera wasz Franek pisuje?... myśli on z tej Anglii wracać, czy nie myśli?

A już blisko miesiąc, jak listu nie mamy. Ale pewnikiem Franek w drodze, pewnikiem już jedzie, bo w ostatnim liście pisaliśmy mu, żeby wracał rychło.

— Właśnie — ciągnął Jędrzej — właśnie... kto nie wrócił zakładać przyciesi, to musi pośpieszyć, żeby zdążyć choćby tragarze zaciągnąć, bo jeżeli i tego nie zrobi, może być różnie... może dojść i do tego, że taki w chałupie stanie się niepotrzebny i chałupa jemu będzie niemila...

— No, ale jedźmy rychlej — przerwał Walenty — bo tak, to będziemy się wlec do wieczora.

Każdy jak na komendę, podyrdał do swego wozu, przylepił się tyłkiem do rowodu, cmoknął na konia. Konie ruszyły klusem, a wozy grały za nimi wesołym klekotem.

Po kilku godzinach wjeżdżali w las.

Wielki, stary las. Rozsiadł się on na nizinie, to też pełno w nim strasznych moczarów i nieprzebytých bagnisk. Wijącymi się między sędziwe drzewa, rozmiękłymi, błotnistymi drożynami jechali dość długo, zanim dobrnęli do kwartału, w którym było wyznaczone Szymonowi drzewo. Trzy olbrzymie kłoce leżały niedaleko siebie.

Podjechali do jednego z nich. Leżał, jak długi, wciśnięty w mokrą, miękką ziemię do połowy swojej grubości. Po chwili, do grubszego końca tego potężnego kłoca, Szymon doprowadza konia z samym przedkiem wozu. Każdy z trzech mężczyzn dzier-

Adolf Olechnowicz

W R Ó C I

OPOWIADANIE

ży w dłoniach zręczny, mocny kolek. Zaczynają po kolei podbijać kolki pod kłoc i próbują razem windować go do góry. Kłoc się nie chce poddać — mocno wrosnięty w to bagienne gniazdo. A no, jeszcze raz, hoop!.. Oderwali go od ziemi. Po kolei na komendę podbijają kolki głębiej. Zginając się w kolanach i grzbiecie podsadza się każdy pod koniec swego kolka ramieniem, a po tym razem wyprostowują się. Koniec kłoca idzie do góry — wolno, ciężko. Różnymi zawołaniami dodają sobie bodźca nawzajem...

— Razem!... jeszcze żdziebko!... hoop!... Wreszcie, jeden koniec kłoca legł na przodku kar. Wyprostowali bolące krzyże, odopczeli trochę i dalej. Po chwili tak samo z trudem wwindowali drugi koniec kłoca na tylną część wozu, związali kłoc z wozem, wprzęgli konie i wio!...

Konie targnęły, parsknęły, obejrzały się. — Wio!... Nuże!... Hoop!... — niesło się po całym lesie. Wołaniem tym wtórowały ostre razy bąta. Konie siłowały się, stękały — nic. Miesiły pod sobą miękkie, czarne błoto, bryzgały nim dokoła, grzęzły coraz głębiej, aż wreszcie jeden zapadł się i legł na błocie całą szerokością brzucha. Wprzęgli go natychmiast, pomogli mu wyleźć z bagna, odprowadzili na bok, zakleli i radzą. Po krótkiej naradzie, zaczęli wokół rąbać chrust i wyścielać tą faszyną drogę przez całe bagno.

Nie przeszła chyba i godzina, a już wprzęgnięte z powrotem w wóz konie stały na ułożonej grubo faszynie. Znow różnie krzyki, wrzaski, znow ostre razy bąta, znow parskania i stękania koni, trzask łamiącego się pod kopytami chrustu... Wreszcie — trzasnęło coś mocniej i koń oderwał się od nieruchomego wciąż wozu.

— Nie wytrzymała uprzęż.

Kilka mocnych zakleć, krótka narada i inny koń dopręgnięty już do wozu. Jeszcze raz krzyki, razy bąta, jeszcze raz konwulsyjne wysiłki koni — wóz ani z miejsca.

Jeszcze raz narada.

— Sprzęgnąć wszystkie konie razem!



CHŁOPSKIE DROGI DO MORZA

(Dokończenie ze str. 2-ej)

gospodarstwa folwarczne. Produkcja zboża pochłania coraz większe obszary utwierdzając coraz silniej pańszczyznę.

Istniały całe wieś orylów, flisaków, którzy dopływali nie tylko do Gdańska, ale, już na statkach, nawet do Anglii. Jerzy Mnisek posiadał w 1600 r. na Sanie 14 dużych szkut „godnych do ładunku ze wszystkimi instrumentami i aparatami do żeglowania potrzebnymi”, obsługiwanych przez chłopów, którzy byli zgromadzeni w osobnym rzemieśle szkutników... Szkuta, największy ówczesnie rodzaj statku transportowego o przeciętnej pojemności 300 ton towaru, z swoim wysokim masztem i dużym żaglem, wyglądała jak mały okręt. Był to więc statek, jak na dzisiejsze stosunki na Sanie, wprost o nieprawdopodobnie wielkim tonażu.

Świadczy to również, że w Polsce pańszczyznianej istniała poważna żegluga śródlądowa, a jej rozwój miał tak wielkie rozmiary, że w 1768 r. rozpoczęto budowę sztucznych dróg wodnych, z pośród których pierwszym był kanał Ogińskiego.

Okresy rozbiorów powodują upadek żeglugi wskutek komor celnych, którymi pozamykano Wisłę wobec różnorodności interesów państw zaborczych. Ale chłop polscy nadal byli żywi z żywiołem wodnym i może dlatego taką ławą po 1889 r. ruszyli za morza, stając się np. w Brazylii twórcami ognisk kultury rolniczej lub przyczyniając się do jej wzmocnienia.

„Za morze! za morze!” — oto hasło tych, którzy nie mogą się pogodzić z panującym w Polsce uciskiem ludu. Na emigracji powstało

I oto stoją przed wozem, jedna za drugą, dwie sprzęgnięte pary. Jędrzej złapał lejce i bat... Wrzasnął na konie tak silnie, że zdaje się świerki igłami sypnęły, przetrząnął przy tym konie kilka razy batem. Zahuczało w lesie, zatrzeszczało wokół wozu. W oka mgnieniu Jędrzej, konie i wóz z kłocem znaleźli się pod górką, za bagnem.

Odetchnęli z ulgą wszyscy.

Poklepalili robiące bokami konie.

Zapalili.

...W ten sam sposób wyrwali później z bagna kłoc drugi i trzeci.

Po naładowaniu wszystkich wozów, ucepiłi koniom na głowy torby obroczone i zasiedli koło wielkiego pnia, który im za stół służył, do obiadu. Nie wiele mówiący ze zmęczenia — jedli. Po krótkim, suchym, razowym obiedzie, ale za to po długim i grubym papierosie, podszedł każdy do swego wozu i — w drogę...

Nie do uwierzenia, co to była za droga — bagna, wyboje, pnie, skręty, załomy... poprostu piekło. To też mordowali się niesamowicie: to komuś wóz przewrócił się do góry kołami — zbiegali się, podnosili, to koło któregoś wozu werżnęło się po piasto w błoto — trzeba było drągami wydzwigać, to znow komuś tył wozu zaszedł na zakręcie za drzewo — trzeba było odstawiać. I tak ciągle.

Kiedy wyjechali z lasu na równą polną drogę, dzień już miał się ku końcowi. Mrok zapadał szybko, bo niebo się zachmurzyło i zaczynał mżyć deszcz.

Konie drogą szły same, nie trzeba było kierować. Wsunął tedy Szymon ręce w rękawy, wciągnął szyję w wilgotny kołnierzyk kurtki, zgarbił się, skurczył... Szedł obok wozu i znużonymi oczami błądząc w mokrym mroku, myślał:

...lada dzień chałupę kończę... żeby tak jeszcze stajnię i stodołę, to miałbym zagrodę lepszą, jak przed wojną... żeby ino Franek przedziej wrócił, bo sam, to już nie wydołam... Kiej Franek wróci, to stajnię zrobimy piorunem, żeby ino pośpieszył... Pisaliśmy z matką, żeby rychło... miesiąc

listu nie ma... może jedzie?... Pewnikiem jedzie... może już jest w chałupie... może go dzisiaj zastanę?... zaraz — śniło mi się cosik takiego niezwyčajnego — zaraz... pewnikiem przyjechał... ale ci robota pójdzie piorunem...

I choć mu krzyże od tych kłoców bolały, choć pokaleczone w lesie ręce i obite nogi piekły, choć mokra od potu koszula jak blacha ziębiła, nadzieja, że syn już przyjechał i że robota pójdzie piorunem, tak go wzmoćniła, że poczuł się na nowo młody i mocny. Wyprostował się, podniósł głowę, podgonił konie i maszerował, jak żołnierz po zwycięstwie.

Deszcz mżył, wozy z rzadka stukotały, konie od czasu do czasu parsknęły, a Szymon szedł i myślał:

...jutro z kolei Walentemu pojedziemy, po jutrze — Jędrzejowi... może po jutrze deski moje będą już gotowe?... jakby we dwóch z Frankiem... tobyśmy za dwa tygodnie siedzieli już w nowej chałupie... tak i będzie, śniło mi się przecie... z matulą se Franuś gwarzy i czeka na mnie...

Po drodze zrzucili Szymonowe kłoce w tartaku, umówili się na jutro u Walentego i rozjechali się każdy do siebie.

Była już głęboka noc, kiedy Szymon zajeżdżał na swoje podwórko. Wyprzęgił szybko konie i wpuścił je do stajni, którą lato prowizorycznie sklecił z drągów i ogacił chrustem. Podrzucił koniom garść siana — niech se przegrzają, zanim zmęczenie odejdzie — uporządkował uprzęż, popatrzył się chwilę z zachwytem na biały, pachnący świeżą żywicą zrab nowego domu i polaził do chałupy, którą wciąż jeszcze była piwnica.

W tej piwnicznej izbie był półmrok. Szymon rozglądał się chwilę, jakby kogoś szukał. A tu wszystko było po staremu: pod ścianą, na czterech wkopanych słupkach — wyrko... w kącie, omazana gliną i zakopconą płytą... na środku, z okiennicy i czterech wbitych w ziemię kółków — stół, obok niżej, z takiej samej okiennicy — ława... wśród tego krząta się Marta. Szymon nie miał sił zebrać się nawet — jak stał, tak opadł na ławę i oparł się łokciami o stół, na którym zadrażała mała, kopcząca się lampka. Marta wzięła szybko misę z jałdem z płyty i postawiła ją na stole. Szymon, chociaż głodny był jak pies, do jedzenia brał się leniwie. Nie miał sił. Ręka unosząca łyżkę drżała jak pod ciężarem.

Po chwili, kiedy Szymon pót miski wychlipał, wąsy otarł i przerwał jedzenie, robiąc sobie pewnie jeno przystanek dla odpoczynku, bo łyżki nie odkładał, Marta położyła, jak opłatek, na środku stołu list, mówiąc:

Franuś list przysłał... zwolnił się z woj-ska, ale... zapisał się na górniką, do kopalni węgla...

Szymon zachnął się, jak piorunem rażony. Łyżka wypadła mu z ręki. Złapał list w sękate od trudu i mozołu palce i zwierzał spracowaną garść coraz silniej. List w dłoni trzeszczał.

— Kiej woli zostać angielskim parobkiem, kiej nie chce być polskim gospodarzem, to... nie trza go tutaj!!! I cisnąć z całej siły listem o ziemię.

— Szymon!... Jezus, Maryja!... Marta klekła szybko na ziemię, podniosła z nabożeństwem Franusłowy list, rozprostowała go delikatnie, przeycisnęła do matecznej piersi i szeptała:

— Wróci!... Franuś, syn mój jedyny!... Wróci!...

W OSTATNIM 31 (110) NUMERZE „WIEŚ” z dnia 10 sierpnia 1947 roku:

Tadeusz Orlewicz — Rolnictwo angielskie przed nowymi zadaniami; Anna Kamińska — Pisarzom jadącym na Śląsk; Andrzej Skupień — Florek — Podhale na przełomie wieków; Klemens Oleksik — Wiersze; Mieczysław Grad — O powieści (dla wsi); Gustaw Przeczek — Ondraszek (fantazja); Janina Grodzińska — Pamiętnik służącej; Tadeusz Chrościelewski — O Rytwianach — felieton rymarski; Józef Kapuściński — Porytwiańskie rozmyślenia; Koniktus na rapor-taż; — Ogłoszenia; — Komunikaty; Poż-kwitowania.

Poszukujemy kandydatów na

KOLPORTERÓW

objazdowych (gminnych)

do rozsprzedaży czasopism i broszur na warunkach komisowych

Kandydaci (posiadający rowery) mogą zgłaszać się listownie w porozumieniu z właściwym terenowo Zarządem Związku Samopomocy Chłopskiej pod adresem: Dział Wydawniczy Z. S. Ch. Warszawa, pl. Starynkiewiczza 7/9.

Ludwik Łakomy.

IDEALIZOWANA DYSKUSJA O POEZJI

GŁOS I.

— Poeci mojego pokolenia, którzy wyszli z chłopów, ale jako poeci wywodzą się z ogólnonarodowych a nawet europejskich nurtów literackich — nie są pisarzami ludowymi. Poeci chłopscy ukształtowani w okresie awangardy, zwycięskiego ostatecznie kierunku poetyckiego, w okresie drugim awangardy, jak Stanisław Piętak, w grupowej działalności poetyckiej autentyków jak Bolesław Ożóg — nie nazywają się poetami ludowymi. Muszą wybaczyć starsi koledzy, którzy dumni są z miana poetów ludowych, musi wybaczyć Stanisław Nędza-Kubiniec, autor norwidowskich poematów o poezji ludowej ze zbioru „Na nową pórć”. Rozstrzyga tu jednak nie pochodzenie socjalne, a tradycja literacka. Inna to rzecz, że grupa naszych poetów wniosła nowe, niewątpliwie ludowe wartości do poezji polskiej okresu międzywojennego, zajęła w nim własne stanowisko.

Poezja chłopów w tym okresie wzbogaciła tematykę poetycką o środowiskowe elementy chłopie, wzbogaciła język poetycki o całą sferę realiów krajobrazu i życia wiejskiego, oczyszczając ją jednocześnie z sielsko-wakacyjnego mieszczańskiego idealizmu. Stanisław Piętak stworzył nowy krajobraz poetycki — wizyjny, lecz zbudowany z elementów realnego życia wiejskiego. Józef Andrzej Frasik użył w swej poezji wiele motywów pieśni ludowej i, jak pisali krytycy, odrodził sielankę polską. Jan Bolesław Ożóg w swej oryginalnej poezji „autentycznej” przywrócił słowom ich świeże podstawowe znaczenia. I inni.

Uczestnicząc w nurcie awangardy dzielą i jej winy, które są winami tym większymi, że dziś społecznie się odciskają, ciągną nad młodym pokoleniem poetów chłopie. Przerost techniki poetyckiej wpłynął na lekceważenie społecznego sensu poezji. Poeci zamknięci w pejzażu wiejskim nie dostrzegali spraw historycznych dziejących się w tym pejzażu, nie załadnił go ludźmi rzeczywistymi, działającymi, społecznymi. Ich człowiek to najczęściej motyw ornamentalny. Ich krajobraz to statyczny i pozaczasowy wygląd ziemi, w którym także sprawy ludzkie sprowadzają się do tak prostych i wiecznych jak miłość, śmierć, sprowadzają się do biologii. Refleksyjność, liryzm mieniący się od obrazów stał się dzięki awangardzie równoznacznikiem samej poezji.

Te oskarżenia są ciężkie w oczach starszych poetów ludowych, których poezja była jednak społeczna i w sensie komunikatywności dla środowiska rodzinnego i pod względem treści. Był okres strajków chłopie, tragicznej nędzy wsi, tworzenia się potężnego ruchu młodzieżowego. Te sprawy przez kolory awangardowych szkół musiały wyglądać nieco inaczej. Jeśli poeta fakturą swego dzieła odpowiada na filozoficzne pytanie, z czego zrobiony jest świat, to poeci awangardowi odpowiadali: z piasku barwy i ruchu — wbrew historykom i socjologom, dla których świat jest przede wszystkim światem kultury.

Nie mniej nie było wyboru dla chłopów więzonych w środowisko inteligentkie. Markę poetycką narodową mogli otrzymać tylko z jego rąk. Masa chłopie stojąca za nim nie była dość silna kulturalnie, aby dać im oparcie. Ulec tej masie chłopiejskiej znaczący w tej sytuacji powrót do tradycji społecznej i, co za tym idzie, poetyckiej, wierszokole, niedonoszonych poetów chłopiejskich.

Pochodzenie chłopie dawało naszym poetom możliwość przybrań postawy pewnej cierpliwej wyższości, pewnego dasu społecznego. Józef Czechowicz nawet podkreślał, zdaje się, wbrew prawdzie, swoją chłopiejską genealogię Stanowisko pariasa społecznego górującego kulturalnie było zabezpieczeniem się wobec nieuchronnej zagłady wiszącej nad oficjalnym światem kultury.

Historyk literatury XX-lecia Kazimierz Cwachowski mógł zaaprobować Piętaka i Frasika swoimi kategoriami talentu i artyzmu, pochwalić „plastyczność obrazów”, „nutę pełni”. Wiemy, że ten język krytyczny nie nie znaczy, choć często nadal brzmi w krytyce literackiej.

W bardziej wymiernej ocenie pewne jest, że inteligentna poezja chłopów przetrwała drogą młodym chłopom do poezji w ogóle, do poezji, bo dotąd wies uprawiała tylko wiersze.

GŁOS II.

— Będę przemawiał w imieniu starszego pokolenia pisarzy jako ten, który mógłby się jeszcze znaleźć w antologii pisarzy ludowych Konfińskiego.

Sytuacja poety pańszczyźnianego Jana Raka piszącego na odwrócić bydłych metryk jest todowodem społecznym poetów nazywających się ludowymi. Chropowate jego wiersze błyskają tu i ówdzie zwrotem Kochanowskiego, rytmem Krasickiego — lecz podnieta która je wywołała, była pozaestetyczna — dążenie do zakomunikowania jakichś treści, chęć wypowiedzenia prawdy:

„Plaz pismaku jak siekiera,
Raz być musi prawda szczerą”.

Dlatego też tradycyjne rozumienie poezji na wsi składa się z dwóch elementów: przekazania wiadomości o czymś i kształtowania w mowie jakiejś życiowej racji. Oczywiście, takie ujęcie poezji narzuca jej cechy formalne — komunikatywności, jasności, prostoty

i nie wiele odróżnia ją od języka prozaicznego. Taka funkcja poezji sprawia, że przywiązanie czytelników do tradycyjnych form rytmu i rymu jako środków techniki zapamiętywania jest bardzo silne. Rozumienie jest warunkiem koniecznym podobania się poezji. To też problem niezrozumiałstwa zjawia się tu pierwszy raz — od strony estetyczno-literackiej. Piękne jest to, co zrozumieli. Problem niezrozumiałstwa pojawia się i poraż drugi w wiele poważniejszym rozmiarze. Funkcja komunikatywna poezji wyznacza wzór pisarza — poety społecznego. Poeta nie żyje w puszczy, w odosobnieniu od ludzi, poeta żyje wśród ludzi i dla nich, dla ich potrzeb tworzy. Obszar tych potrzeb wzrasta i będzie wzrastał w miarę powiększania się czytelnictwa na wsi. W tej sytuacji poeta nie może zlekceważyć zadań, jakie stawiają mu odbiorcy, zwłaszcza poeta, który chce się nazywać chłopiejskim. Poeta chłopiejskim dla nas nie jest ten, kto wyzwał się wsi i wziął z niej do poezji tylko krajobrazy. Dla nas poeta chłopiejski to pisarz wysunięty przez czytające masy ludowe, bez względu na to, czy będzie opisywał pracę rolnika i garki na polu, czy dym fabrycznych kominów. Jesteśmy cywilizacyjnie upośledzeni. My jako środowisko chłopiejskie nie możemy być jeszcze w pełni konsumentami nie tylko europejskiej, ale i polskiej tradycji kulturalnej.

Jeśli działają w grupie chłopiejskich pisarzy mówimy o poezji, to niewątpliwie rozmowa nasza ma inny ton, niż dysputy poetyckie w środowiskach literackich ściśle inteligentkich. Jest coś bardzo naturalnego w tym, że zbierają się ludzie wykarmieni na dobrej literaturze, oderwani na chwilę od ślśniących tomów, po to, aby pomówić o rodzaju kulturalnych wzruszeń zwanych poezją. Zważcie jednak, że doszło do sytuacji niemal nieprawdopodobnej, a która jednak jako rzeczywistość musi być wzięta pod uwagę. Zebrał się chłopie, którzy jeśli są w pewnym stopniu konsumentami kultury — mówię o sytuacji mojego pokolenia chłopiejskiego — to są nimi wbrew porządkowi społecznemu, w wyniku często dziwności indywidualnego, w dążeniu do wyrównania umyślną sprawnością bezradności zbiorowej popańszczyźnianej klasy ludzi. Jeśli dziś tym chłopom, którym za późno przyznano pełne prawo do kultury, za późno, aby mogli go użyć, pozwolono w wywyższenie od zajęć praktycznych (bo to ważne) rolniczych, działackich, nauczycielskich — zejść się i rozmawiać o poezji, to niewątpliwie powie im, że oni wiele rzeczy nie po myśli wam, młodzi, coście wprawdzie nie zerwali sercem ze swoim środowiskiem rodzinnym, ale wysunęliście się w kulturze daleko przed nami. Postąpiłiscie uczciwie, że postanowiliście mówić o poezji nie w zamkniętym misteryjnym gronie uprzywilejowanych, ale zaprzęgniłiscie sprawdzić wasze głosy naszą tu obecnością. Tak. Aby mówić o kulturze i nie ułatywać w abstrakcje, trzeba czuć przy sobie towarzyszącą grupę ludzi, przez którą to, co się mówi, obiektywizuje się, nie jest czystym indywidualnym „widzimisie”. Dlatego też problem niezrozumiałstwa poezji staje się w tym wypadku poważnym oparam, przez który przeskokczy się nie da, jeśli chce się utrzymać ciągłość tradycji. Niezrozumienie waszej nowoczesnej poezji w szerokiej rzeszach czytelników to nie jest przecież tylko kwestia naszego nieuctwa. Pamiętajcie, że mówimy ciągle o sprawach kultury, że to nasze nieuctwo nie jest też tylko sprawą ilości doświadczenia kulturalnego, ale sprawą jego jakości. Wy reprezentujecie wzory kulturalne nowe, nową poezję, my wzory dawne, poezję dawną. Jest to, po myśli, podział naiwny. Dawność i nowość to rzeczywistości ogólne rozróżnienie. Ale nie określiliśmy wzajemnego ich stosunku nie postąpić naprzód. A iść naprzód każe wam przecież przekonanie, że i w sztuce istnieje prawo postępu. Bo nie prawda jest, że jest tylko poezja dobra i zła, że jest Kasprzowicz i Homer, Ferdynand Kuraś i Julian Przybós, że dobra to właśnie jest ta poezja, którą nazywacie nowatorską, zła zaś to poezja formalnie zacofana, poezja dawna. Pamiętajcie, że oceny dokonujemy tu nie z jakiegoś obiektywnego olimpijskiego szczytu, bo takiego nie ma, ale z miejsca, w którym стоимy, ze współczesności, a więc z sytuacji kulturalnej grup. Nie zatracajmy z oka faktu, że literatura tworzy się ciągle dlatego tylko, że jest potrzebna, a nie z ambicji prześcignięcia wzorów.

Ktoś z was powiedział, że Konopnicka pisała wiersze, a wy chcecie poezji, nie wierszy. Nie prawda. Konopnicka przyjęta została jako poetka przez dużą grupę kulturalną, spełniła potrzebę poezji społecznej w sytuacji tej grupy. Przewyciężyć Konopnicką obiektywnie to zadanie społeczne z jednej strony dla szkół i organizacji kulturalnych, z drugiej zadanie artystyczne dla poetów: wywołać tęsknotę do nowej literatury, zaspokoić ją. My może kiedyś zrozumiemy mechanizm wiersza o tych „różgach brzoź”, co „rysowały wicher”, ale już teraz, dziś chcemy poezji i poezji dobrej.

Jest sytuacja taka, że nowatorska poezja mogłaby ambicje swoje skupić na poszukiwaniu form, które by nie zrywając z masą nowych czytelników nie zrezygnowały także z osiągnięć nowoczesnej sztuki poetyckiej. Sądzę, że jedną z dróg do zasypania przepaści niezrozumiałstwa — byłoby sięgnięcie w poezji do treści realnych i aktualnych. Dorzeczny, obiektywny kształt życia

dotrze nawet poprzez trudną poezję do czytelnika, jeśli ten poza techniką poetycką dostrzeże w utworze literackim tę pierwszą funkcję literatury widoczną u Raka: opowiadanie o czymś co warte jest przekazania, mówienie prawdy.

Minister Przemysłu zwracał się do poetów chłopiejskich dając im podwójne zadanie: pisanie o współczesnym życiu objawiającym się w działaniu gospodarczym i pisanie tak, aby być zrozumianym przez masy, których udział w tym działaniu jest najbardziej bezpośredni. Ta rzeczywistość gospodarcza, o jakiej mówi minister, jest dość wzniosła i patetyczna.

Nie chcemy, aby nas oszukiwano łatwym słowem. Nie chcemy jednak przede wszystkim, aby nas mamił treściami zmyślnymi i białymi.

GŁOS III.

— Gdy nam, młodym pisarzom chłopiejskim, przychodził kończyć dyskusję o poezji i związać głosy dwóch stanowisk, dwóch pokoleń, dwóch losów pisarzy, znajdujemy się w trudnej sytuacji. Uczestniczymy bowiem w obu racjach, w obu systemach, w jakich te racje się wyrażają.

Dobrze będzie zarysować miejsce naszej rozmowy o poezji w programie całej konferencji pisarzy „Wsi”. Zagadnienie inteligencji polskiej, sprawy gospodarcze rolnictwa i przemysłu, sprawy oświatowe i historyczne są nie tylko tem dyskusji o poezji. Są jej konieczną podstawą. Literatura nie wyrasta z powietrza, nie ma literatury bez społecznego przedpola, bez bezpiecznego zaplecza tradycji. Tymczasem tradycja chłopiejska z tytułu grozi nam nadal, a i przed sobą pchamy niewymiecionie ideologiczne przeżytki. Pierwszym zadaniem pisarza wydaje się dziś — po pierwsze: rozprawić się z tradycją literacką; po drugie: oczyścić pole dla nowej rzeczywistości gospodarczo społecznej. Czy w tej robocie jest miejsce na poezję czy wchodzimy raczej w epokę publicystyki, literatury rozumowanej i stosowanej? Nie, wątpliwie, wrażliwość estetyczna nowoczesnego człowieka jest inna, ozleglejsza niż wrażliwość odbiorcy literatury sentymentalnej. Traktat naukowy, referat gospodarczy porusza w nas dziś te same struny wzruszenia estetycznego, jakie trąca poezja. Mówi o czymś także fakt, że poeci czują się tutaj dobrze wśród ekonomistów, że dyskusji oświatowych i gospodarczych nie uważają za obce sobie. Przeciwnie, zachowują się tak, jakby o ich własne, zawodowe sprawy chodziło, jakby się rozstrzygał los poezji wraz z zagadnieniem mechanizacji rolnictwa i organizacji szkół. Warto o tym mówić dlatego, że jeszcze zbyt często spotykamy się z lekceważącym stosunkiem do poezji wynikłym z jej oderwania od spraw życia, z jej ahumanistycznością. Człowiek poewiartowany przez metaforykę pewnego okresu poetyckiego — mało był podobny do człowieka, jakiego znamy z doświadczenia, człowieka społecznego i historycznego. Megalomania poetów objawiająca się w mniemaniu, że w świecie nieporządkowanym i niepoznawalnym — jedynie poezja podaje klucz do wszechświata — jest dzisiaj nie do przyjęcia. Wynikała ona z bezradności antyracjonalistycznego stanowiska filozoficznego, z antypolitycznej postawy społecznej.

„Przekonania społeczne? Dla karzelek,
Recenzje niedorzeczne? Dla zgiełku.
Poeto, pluń, gdzie komuna, sanacja

i endecja
Tylko ona cię zbawi, przeklęta i jedyna
I na gwiazdy wyprawi”...

Tak pisał poeta w latach międzywojennych.

Drugie błędne a nie całkiem przeszyte, żone jeszcze ujęcie poezji i w naszej dyskusji się odezwalo. „Klucz do wszechświata” z jednej strony, a z drugiej „serdeczny mistycyzm”. Poezja byłaby czymś pozaliterackim, pozakulturalnym, tkwiłaby w przeżyciu poety, ostatecznie nie do reprodukcji. Tego błędu ustrzegli się nasi mówcy ze starszego pokolenia. Poezja jest literaturą, jest tworem sztucznym, językowym, konwencjonalnym. Poeci, którzy wygłaszali tu przeciwny pogląd, uznają w ogóle naszą dyskusję o poezji za profanację świętości, będą się gniewać za szarpanie słowami tego, co w ich mniemaniu jest niewyrażalne, jedyne, podane tylko intuicji, czułości itd. Istotnie, możliwość mówienia sensownie o czymś, co nie istnieje, jest żadna.

Chodziłoby jednak o to, aby ująć zadanie poezji rozszerzając czy wyjaśniając może to, co w tej sprawie mówili przedstawiciele starszej poezji ludowej, mówiąc o prawdziwości i komunikatywności mowy poetyckiej.

Przypomnę nastroje pierwszych dni i tygodni po wyzwoleniu, kiedy tworzyły się prawie od nowa życie kulturalne w Polsce. Obserwowaliśmy wtedy wielką tęsknotę do literatury, do poezji. Wieczory i poranki poetyckie były odwiedzone tłumnie i to przez bardzo różnorodną publiczność. Ciekawość — jak to, co zdawało się nie do wypowiedzenia, zaniknęło się w słowie. Pragnienie — przewyciężenia okupacyjnych kompleksów przez organizację werbalną rzeczywistości. Następnie wysunęły się zupełnie inne zadania społeczne wobec literatury. Życie rozwijające się w szybkim tempie zmian wyma-

gało i od literatury, aby nadała za nim, nawet aby prowadziła. To przewodnictwo literatury, a ściślej — poezji wobec życia, to, co my w słowniku narodowym obarczyliśmy ciężarem słowa — wieszcznie — wyglądać musi zupełnie inaczej, niż w tym okresie, gdy termin ten się przyjął. Opracowania naukowe, podręczniki fachowe wieszczą dziś narodowi jego zadania i czynności. Poezja miałaby do spełnienia i do wyboru dwa zadania: jedno z nich — afirmacja, drugie jak tu się wyraził nasz teoretyk literatury — komplikacja rzeczywistości.

Możnaby wobec naszej chwili historycznej i tradycji literackiej zapytać stylem Kanta: czy i jak możliwa jest poezja oplewająca, panegiryzująca. Przykład takiej monumentalnej poezji mamy w twórczości Majakowskiego, którego język poetycki, jak zauważyli krytycy, stał się nowy i nowator, skłi przez użycie nowych treści, i ściślej — nazw. Prozałmy życia publicznego rewolucyjnego wtargnęły w język poetycki i naruszyły jego formy tradycyjne. Byłoby to jedno ze źródeł odnawiania języka poezji. Nie, wątpliwie poezja jest sztuką nazywania. Jeśli poeta potrafi dziś zmieścić w pewnych rygorach poetyckich nazwę Związku Samopomocy Chłopskiej, jeśli sloganowe niemal imiona rzek zachodnich — Odry i Nysy wplecie w taką konstrukcję językową, która uczy, ni je ważnymi — to będą to nowatorskie poczynania poetyckie w tym samym stopniu, co poszukiwanie niezwyklej metafory. Jeśli mówi się o społecznym zdeterminowaniu poezji, o wpływie społecznych zadań, wysuwanych przez zespoły artystyczne, świetlice, teatry ludowe, to nie wyczerpuje to możliwości poezji, choć ją w pewnym sensie określa. Jeśli poezja jest tworem językowym w tym sensie, jak nie jest nim np. recepta ap. tekarska czy przepis kulinarny, to czynnością ściśle poetycką będzie stworzyć w języku konstrukcje nowe w stosunku do ujęć rzeczywistości innego gatunku, konstrukcje, które przez swe zaistnienie bogactwo umysłowy pogląd świata, komplikują jego sferę znaczeniową.

Ta sytuacja dzisiejsza, której wartość podnosi mój poprzednik, spotkanie się w rozmowie o poezji starszego pokolenia samokulturalnych i poetów pochodzenia wiejskiego — inteligentów, stawia przed nami zagadnienie ich wzajemnego stosunku, zagadnienie oczywiście nie filologiczne, jak chcą niektórzy krytycy, zestawiający np. wiersz Frasika z wierszami i pieśniami ludowymi, ale kulturalno-socjologiczne. Może dałoby się niepowodzenia losów poezji jednej i drugiej wyjaśnić zbieżnością dramatu społecznego jej twórców. Kuraś, Jantek z Bugaja, Sawczuk i tyłu innych są to postacie w naszej kulturze żałosne, choć może dla klasy chłopiejskiej — ważne. Przypomnijmy sobie to borykanie się z warunkami życia na wsi, z własnym nieuctwem. Gorzej jeszcze — uprzytomnijmy sobie ich godzenie się na protekcjonizm inteligencji, na poezję małych wieszczów potomantycznych, idealizującą chłopie, na łatwą wizję narodowego szczęścia w sbrataniu klas. Poeta chłopiejski w przedpokojach pańskim, wyciągający rękę po okruh kultury narodowej — to widok zawstydzający i tragiczny. Poeta chłopiejski opiewający cudzymi schematami poetyckimi szlachetkich bohaterów narodowych znanych z infantylnego elementarza historycznego dla ludu — to fakt kulturalny zasmucający. Trzeba oskarżyć poetów ludowych, oskarżyć ich aż do końca, o to także, że posiadają o niezrozumiałstwo poezję współczesną — nie czynią nic, aby się jej nauczyć.

Z drugiej strony trzeba się zdumieć, jak silne są strumienie kultury, jak rozumne w szukaniu dróg, jeśli z prawdziwej nocy cywilizacyjnej chłopie w końcu XIX wieku zabrzmiały czysta nuta tradycji poetyckiej od Kochanowskiego, jeśli na zaplamionym stole chłopiejskim zjawia się wielka literatura, a ręka zgrubiła w nieustannej pracy filozoficznej chwytając się pióra. Niemniej dramatycznie zarysowuje się sytuacja poetów wychodzących ze wsi do miasta w początki wieku XX. W ich sferze środowiskowej nie było zapotrzebowania na ich czynności kulturalne, ich wyście ze wsi było społeczna sordada klasy, ponieważ znalazłszy się w innym kręgu, wrogim w istocie wsi, pracowali mimo woli nad wzmocnieniem wrogiego kręgu i odcieciem własnego. Wkupywali się w oficjalne środowisko literackie, które przed wojną zdradzało tyle cech społecznego dekadydentyzmu. Gorzkim sercem musieli się podobać literackiej publiczności w tym, co było ich słabością, nie siłą. Ich osiągnięcia mogły być tylko prywatne, tak samo jak wyjątkowo, we osiągnięcia chłopiejskich samouków pozostałych w wsi.

Los tego drugiego pokolenia chłopiejskich intelektualistów, którzy zdolali osiągnąć poziom kulturalny, utwierdza nas w przekonaniu, że nie ma rozwoju, nie ma szczęścia w oderwaniu od losu grupy, do której się należą, do której się przystaje. Dlatego też jesteśmy tu razem.

Mówi się o europejskości jako celu, do którego awansować mają klasy społeczne. Probowaliśmy więc ze źródła Supervielle'a i Valéry'ego zapominając o smutnym Kurasiu i smutniejszym jeszcze Jantku z Bugaja. Lecz oni nas docięli dzisiaj poprzez wszystkich chłopiejskich czytających.

A co dalej w sprawie poezji — mówcie, dyskusja nieskończona.

Ułożyła Anna Kamieńska

A. F. Kirlo-Nowaczyk

Realizm zaklętego kręgu

(„Wnuczek orze” Edwarda Marca)

Tomik wierszy Edwarda Marca tematycznie ma ściśle określone granice, którymi są: chłopskie obejście, wieś i jej codzienne sprawy. Krąg zagadnień w których lubuje się poeta określa tym samym jego osobowość. Trudno wyjść z chłopskiego, objętego chruszczanym płótnem podwórka połączony z walką o byt, zaprawiony goryczą, musiał wycisnąć niestarte piętno na tworzywie chłopskiej awangardy literackiej. Dlatego u poetów chłopskich to ciągle powracanie w opłotki, z których się wyszło. Mógłbym tu mnożyć przykłady na poparcie swojej tezy, ograniczę się jednak do dwóch przykładów, mianowicie do twórczości czołowych liryków chłopskich: Piętaka i Frasiaka. Jakkolwiek zestawienie utworów Marca z utworami Piętaka i Frasiaka, dostrzeżenie się jakichś wspólnych cech miałooby wątpliwą wartość teoretyczną, warto zwrócić uwagę na wspólne bezspornie podłoża tematyczne dzieła tych trzech poetów — wspomnienia z lat dzieciństwa i młodości. Doznania psychiczne tamtych lat będą na długo jeszcze niewyczerpaną skarbnicą treści jako poetyckie tworzywo i one to w poezji Piętaka i Frasiaka osiągnęły swoją pełnię wyrazu.

Wracam do Edwarda Marca. Oto o czym pisze poeta w tomiku „Wnuczek orze”. Na przestrzeni czterech strofek wiersza tytułowego opowiada poeta jak to: „Lemnie struże płyty iu, wielolistny szemrze podbiał”. Swobodny bieg „myśli zadumanych” nie przeszkadza w pracy oracza. Sprawa tych „myśli zadumanych” uderzyła mnie przede wszystkim. O czymże myślał oracz kilkanaście lat temu wstecz, kiedy wypadało mu spełniać czynności społeczne pariasa? Czy myśl jego wylatywała poza codzienne kłopoty? Czy zdoła wylatywać poza granice spłachcia ugoru, z którym wiązało chłopu własnego jego „być albo nie być”? Czy oczy oracza dostrzegały coś więcej nad to, że „konie z wiatrem się mocują, skórę grubo w słońcu marszcząc”? Czy w duszy oracza zżoła przeświadczeniem, że „lata przewiewają kručze”, nie budziło się pragnienie poprawy losu kosztem tych, którzy w swych rękach dzierżyli lany ziemi rozleglejsze od chłopskiej myśli? Wiersz o tym nie mówi i wydzwięk jego jest raczej pesymistyczny. A oto z kolei „Wieczne podwórko”. Dlaczego „głaziami wiatr omiata dach z blasku”? Dlaczego „i wnuka zgarbi siwiejący nastroj i odrzyna drzący będzie długo macał”? Czy istotnie tak ma być, że „dom mój to własność mojego ojca — i synom bywa za mieszkanie”? „Na tamtą stronę świt nam stodołę otwiera”. Jakaż to strona i jaki to świt? Czy jednak oraczowi nie przyszło na myśl, że może być inaczej, że nie tylko świt zajął do stodoły, lecz o kilka godzin więcej plonu? Ale jak dotąd: „od tej (strony) zmierzch ją na skobel zamknął”. Dzisiaj daj Boże, kruchy dom ojca ma szansę przetrwania po wieki w ogniotrwałej cegle na mieszkanie dla „wnuczków”.

W wierszu „Wozy ze zbożem” mówi poeta: „Któż to poetów zbłamucił, że chłop jest władnym twórcą? Sam się nam dzień w godzinę skrócił, godzinę w chwilę skurczył”. Był czas, kiedy nie tylko poetów bałamucano, ale i chłopów samych, gdy dni się kurczyły od trosk i goryczy nad pustą misą „nim nowe światło strop przeorało” i „człowiek posłuszny belkom i ruchom” dźwigał na władach plone snopy z jałowych żniw.

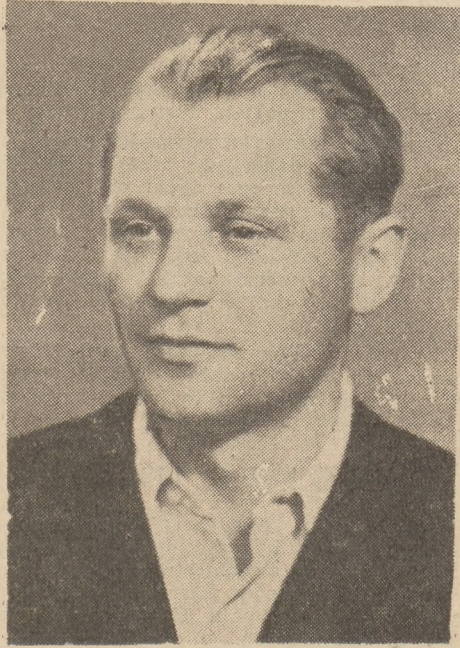
Ale poeta nie zawsze uderza w struny pesymizmu. W utworze „Dzień rozmaity” dostrzeżenie on „świertgot ptasi”, który „jak uśmiech wybiega na usta”, czuje, że „ziemia pachnie”, widzi „dziecinne oczy niebieskie, bure i czarne” jak „o skorupki, ogórki i kwiaty się troszczą”. To nic, że deszcz puchnie, niebo niżej, gdy światło pół roku „dziewczęta noszą na twarzy”.

Lecz oto znowu w wierszu „Jesień” „bezradna rozpacz szuka równowagi”. Czyżby dlatego, że „Dzień do dnia był podobny, że ktoś gdzieś kołmi drogę zabiegł”, że wieś w swoich zaklętych kregach widziała tylko jedno, iż: „żniwa przeszły. Topole żółkną”, i w konsekwencji wciąż ta sama bieda?

W pięknym wierszu pt. „Pod uśmiechniętym niebem” poeta ubolewa: „To przecież maj. Czy świat dał się podbić burzy wiosennej? Skoro cyklon przewiał — a ręk i nóg urwanych nie doprawi chirurg, nie mam płuc na westchnienia”. Ta melancholia jest zrozumiała, skoro wywołały ją skutki wojny. I stąd próba: „Obieg krwi dębowej w tętno przywróć, Boże matek rodzających! — Rozbudzaj krącenie strug i strumieni, niechaj cieką dotąd, wbrew niedogasłym na dnie ludz. kim iskrom, aż zmyje czągi porzucone w błocie, a ślady rdzy wyschną”. Spełnia się próśba poety: „Pod uśmiechniętym niebem idzie człowiek”. Rzecz jasna, człowiek odrodzony, nowy, zarabiający na własne szczęście.

Lecz Marzec wraca znowu w zaklęty krąg, gdy w utworze pt. „Przed snem” powiada: „Te dnie, jak woły w jarzmie, tak ludzie: skosikem zboże, nagła wózka — świat się zamyka w trudzie”. Niedola chłopska jest jak kołowrót, poza którego obroty trudno się wydestakować.

„Rozmowa z matką” — to dzieje jednej z wielu matek chłopskich. Oto jak wygląda opis urodzin dziecka w utworze Marca: „Matko! I w martwych rękach spiotłaś, jak kłamrę, zamierzony ciężar żywota. Brzezina ukłękła, krzywym konarem spokój ci odmierza i wiotka miotła obejście przegarnia, jak koło domu. Ale tu jest ciszej”. A dalej: „Przeło się wzmaga żalony niepokój, by brzozy śladów matki nie zatary”. Tymczasem: „ko-



Edward Marzec

stnieje zima. Zmierzch twardo napływa i kwiaty w okna tka bardziej obficie, niżby ogródki narcyzami przywarł i party w szy-

Piotr St. Ziarnik

Edward Marzec - poeta realistyczny

Zestawiając drukowane już we „Wsi” i nie drukowane poprzednio utwory Edwarda Marca z utworami innych pisarzy chłopskich staje się przed zjawiskiem zupełnej odrębności jego poezji. Na czym ta odrębność polega? Najogólniej mówiąc utwory Marca są najwłaściwie z znanymi nam utworów transformacją poetycką rzeczywistości wiejskiej. Krajobraz, ludzie, sprawy wsi znajdują w nich nieskrzywione, nie wystylizowane, nie nakłonione ku jakiejś poetyckiej koncepcji — odbicie. Ulega się złudzeniu, że to zwykłe proste wyliczenie elementów, które przeszły przez zmysły nie nurzając się w refleksji deformującej i upadły na papier, że — mówiąc inaczej: Marzec ma swoje pióro w „dniu rozmaitym”, a nie w kalamarzu atramentu.

Oto fragmenty dwóch wierszy, na ten sam temat: żniwa i burze letnia.

STANISŁAW PIĘTAK

ŻNIWA

— Zakładaj na żyto chochoły, burza idzie! — wołał ojciec i w mgłę się nurzał. Błyskawice konie pognały pod las, a tam nagle dąb w śmiechu czepionym trząskł. Ukryłem, by nie zmoknąć, z siebie szaty a wtedy na ścierni przyjęły bały błysków mię i ze snopem rzuciły w dół. Kurz srebrny błł z pędzących po niebie kół.

— Napiliłbym się chłodnej, co idzie tęczy. Tato, nasz Gniady u jej brzegu kłęczę... Taką dziczyńską jeszcze poniosł się głos we mnie — i usnąłem, oparty o kłos..

EDWARD MARZEC

WOZY ZE ZBOŻEM

Doszło w snopkach cierpliwym upałem. Parny wiatr przedał kłosiwo i słome. Rychło kogut, kolorowe kokoszki i białe gęsi, szukać zaczęły ziarn łakomie.

Grymas krzywych błyskawic z południa pół stropie biegnie i drga jeszcze. Świat dołem milknie, milczeniem się zaludnia, wnet sypnie w snopy nagłym deszczem.

Raz jeszcze śmignij z turkotem przed nawahicą huczącą właśnie, by umknąć ze słomianym złotem — ...a piorun wrota zatrzaska.

Zestawienie tych wierszy charakteryzuje Marca jako poetę realistycznego. W wierszu Piętaka metaforyka odrealnia obraz burzy, z każdego elementu rzeczywistości włączonej w obraz wypryska plomień poetyckości wynoszący ten element na jakiś wyższy poziom, gdzie poeta znajduje nagły sen przytulony do kłosa. Marzec w swym ciekawie skomponowanym wierszu trzyma się realiów, żadna metafora ani elipsa (tych Marzec używa mało) nie przenosi obrazu w inny świat, więcej — opis burzy jest metaforyczny nie mniej efektywny, mniej oryginalny — mniej poetyczny. Efekt położony jest dopiero na koniec, gdzie pada piorun, by zatrzaskać wrota, i to wrota stodoły, a nie — według schematu poetyckości — drzwi nieba.

Zestawienie to pozwala nam wyciągnąć znamienne wnioski. Marzec nie dąży do upoetycznienia rzeczywistości, nie osiąga wizji poetyckiej, zbudowanej z realiów, tak, że w wyniku stają się substraktami innej rzeczywistości, jak to jest u Piętaka i u większości poetów współczesnych. Marzec używa zdobyczy awangardy tylko dla spotęgowania wrażenia realności przedmiotów. Marzec nie wykazuje pasji zdobywczą w stosunku do rzeczywistości, jest raczej surowy, antybarokowy w wyrazie. Tak ozdóbne, awangardowe strofy, jak dwie pierwsze w „Rozmowie z matką”, utworze, w którym Marzec nabrał

by nieporadnie wyciekł”. Wreszcie: „Wszechwładna babka świadków z domu płoszy, barczanką sutą przez izbę kolebiąc. Ma przyjąć dziecko”. „Ojciec pragnie pomóc. Dziwnie pokorny. Popiół w rusztach grzebie i drwa najsuchsze na pasemka struże, aż piec rozjarzył”. Potem: „Krzyk się rwał i miotał, przywołane ze ściany zbiegają obrazy, krwawe serca i lilie nisko się schylały”. W końcu: „Urodziła syna. Małe piastki. Już napój cedzą. Jezus na krzyż „wrócił”. Ta scena urodzin ma swoją na wskroś wzruszającą wymowę, zwłaszcza, że zamknięta w tak prostych formach ekspresji.

Życie matki obfituje w troski i gorycze: „Sprzykrzy się matce rozplakana żba, synkowi pieluch nikt nie zdąży wyprać”. „Dzień twój za krótki, by stroić raj czeciczny, skoro się trudnisz polem urodzajnym”. A dziecko? „Samotny się budzę, samotny zupełnie, twój powrót wypłaczę i karmić mię będziesz”. „Gdzieindziej ciepłe, wybielone pieluszki, jak śnieg puszysty. Matrony cierpną i bony, gdy dziecko ma oddech nieczysty”. „Ja tu się w kurzu, jak szczenię rozwalam, rój strupków za uchem mię parzy”. Lecz: „Mądrzejsza jest młodość i moje dzieciństwo w królestwie rupieci”. Lecz syn mówi do matki: „Krokami drobisz, moje kroki rosną. Odtąd wyglądaj, czy syn ci upiększy ścieżkę, gdzie drepta twoja noga bosa”? Skarzy się poeta: „Próżno mi szukać opieki u ciebie, służebna dójko, żniwarko, kopaczko”. Życie kobiety wiejskiej jest twarde. „Pod wieczór dźwigasz ładowaną

szerokiego oddechu z zamiarem stworzenia większego poematu o latach dzieciństwa, należą do rzadkości w tomiku. Przytaczam je na dowód, że metafora awangardowa nie jest mu obca i że posługuje się nią swobodnie.

Matko! I w martwych rękach spiotłaś, jak kłamrę, zamierzony ciężar żywota. Brzezina ukłękła, krzywym konarem spokój ci odmierza i wiotką miotłą obejście przegarnia, jak koło domu. Ale tu jest ciszej. Szelest słoneczny na gałęzi zadrga, jak koło domu. Lecz głosu nie słyszę.

W stylu awangardy jest również inna strofa tego utworu:

Zmierzch twardo napływa i kwiaty w okna tka bardziej obficie, niżby ogródki narcyzami przywarł i party w szyby nieporadnie wyciekł.

Metafora i parabola nie są ulubionymi tropami poety i dlatego w żadnym utworze nie gromadzi ich, aby zaślusnąć oryginalnością. Chętnie używa starszych typów przenosi.

Ulubionym tropem poety jest natomiast wyliczenie. Znajdziemy je w każdym utworze większym, czy mniejszym. Niektóre drobne wiersze są całkowicie na nim zbudowane jak np. „Jesień” i następny wiersz w zbiorze, niezatytułowany. Tym środkiem operuje Marzec w różnych celach i w różny sposób. Nie jest to oczywiście tradycyjny typ wyliczenia w ramach zdania. Wyliczenie u Marca polega na stopniowym zapelnianiu obrazu elementami równoważnymi.

„Pił koń u studni, żniwa przeszły.

Topole żółkną. Drż topole.

Wiatr mierzwi wierzby. Kogut grzeszy.

Pląg się świeci przy stodołe.”

Inny efekt daje zastosowanie tego samego środka technicznego w wierszu „Dzień rozmaity”. Poeta wylicza składniki, aby je podsumować ostatnią strofą — wnioskiem refleksyjnym: „I (można je tu zastąpić wyrażeniem: „a więc”, albo „jak widać”, jak z tego wynika”) rzadzi namj wszechmoc nie naszych rąk”.

I dalej już jakby uzasadnienie:

„Dzień Pomrok. Noc. Drzewina gwarzy.

Ostrzymy kosy, a nikt nie sadził łąk”.

Wyliczenie tego typu, jakie stosuje Marzec nie jest wynalazkiem nowym. Używane tego tropu spopularyzował w swoim czasie konstruktywizm. Marzec stosuje wyliczenie z powodzeniem nawet w wierszach bardziej skomplikowanych, jak np. „Pod uśmiechniętym niebem”.

Ze względu na fasadę trzeba jeszcze zająć się choćby krótko sprawą gospodarki, słowem w utworach Marca. Powiedziałem, że Marzec jest powściągliwy w stosowaniu ozdób stylowych. Podobnie jest ze słowem. Poeta nie lubi nimi szafować. Dowodzą tego krótkie, lapidarne, pełne treści zdania pojedyncze nierozwinięte, złożone z rzeczownika i czasownika, albo zdania złożone z członów współrzędnych, najczęściej orzekających, używane w każdym utworze.

W pełnych zdaniach rozwiniętych Marzec przywraca miejsce pogardzanym na ogół zaimkom osobowym, spójnikom, przysłówkom. Pozostawienie przysłówków i spójników szczególnie podkreśla rozwój treści wiersza. To wiąże się znowu z realistycznym wydzwiękiem utworów, i z ich przystępnością, czytelnością, o którą Marzec niegdyś kruszył kopie z Przybosiem („Wieś” Nr. 11 (39)). W gospodarce słowem, w tradycyjnej strofie (czterowersz) w utrzymanym rytmie i rytmie swych utworów Marzec jest jak najdalej od awangardy, z której zdobywcą jak widzieliśmy, potrafi korzystać. Podobnie Jan Baranowicz, najbardziej w szczytowych osiągnięciach zbliżony do autora „Wnuczka”. Wystarczy zestawić drukowane zresztą obok

chwastem płachtę, jak krowy nakarmionej banię”. „W chałupach takie, jak z pobożnych pół kobiety rosną uległe, bo z wiarą w moc przeznaczenia na gorzkawy ból i uśmiech błahy, nim je ujmie starość”. „Stoją wokół z rękami zamiarów pełne”. A za to w niedzielne popołudnie, gdy matki rozmawiają z matkami: „Wielka zazdrość o dzieci urodne, tuste prosięta i mleczne krowy tai się w sercu. Lecz gwarzą swobodnie o kazaniu z Sądem Ostatecznym”. Zresztą omawiają: „sprawy różne ze sieni jarmarczne przy chałupach czerwonych i białych — na podwórkach, w ogródkach z kwiatami” o tym, że „moja Zośka chciałaby do szkoły. I nasz średni do Mszy Świętej służy. W dworze zdechły dwa najgrubsze woły i świat trwał tak”. Trwał świat w zaklętym kręgu wiejskich ciotków z jego drobnymi sprawami i ludzi bez aspiracji i pragnień, bez wyjścia.

Tomik „Wnuczek orze” zamyka wiersz pt. „Suchotnica”. Nazwałbym go swego rodzaju pamiętnikiem, nawet spowiedzią chorego na gruźlicę. „Jakby się skopiec miłosierny najął udoić dla mnie nad miarę lekarstwa”. „Matka rozgłasza, że oddycham gładko”. „Poduszkę pod głowę podłożą, za ręce pomatu wiodą”. Lecz sąsiadom nie w smak to, że „siedzi w pogodzie, cłońca się naje co dzień”. „Postójcie! równieście dziewczęta przy furtce trochę dłużej, chroni was bez i mięta o j suchot”.

Pozostaje dla suchotnicy ostatnie pragnienie: „Zabierzcie pola niech puste nogi podetnie mi przesterzeń. Albo w nabrzmiałe usta wiadrami lejcie powietrze”.

Zamknięty krąg tematyczny poezji Marca rozciąga się w prostym i szlachetnym realizmie opisu. Realizm odnosi się przeważnie w literackich dyskusjach do prozy. Oto wzór poetyckiego i zarazem trudnego realizmu — poezja Edwarda Marca.

siebie we „Wsi” Nr. 10 (17) w roczniku 1945 wiersze: Marca „Przed snem” i Baranowicza „Wieczera”.

Tak przedstawia się fasada. Sięgnijmy dalej. Poezja Marca sprawia wrażenie, że autor najgłębiej i najściślej związany jest ze wsią. Środowisko wiejskie wypełnia po brzegi twórczość Marca. Ta czystość związku zastanawia. Tak chyba widzi świat realistyczne oko chłopca. Za treścią utworów nie czuje się programowej ludowości, nie czuje się konfliktów, urazów, tak częstych w twórczości inteligentów pochodzenia chłopskiego. Podobnie czysty stosunek epicki zaprzętał dotychczas jeden tylko pisarz pochodzenia chłopskiego — Dunarowski w zbiorze nowel „Ludzie spod miedzy”.

Zdaje mi się, że sprawa nie jest zupełnie prosta i nie sprowadza się tylko do pytań: czy Marzec jest doskonały wolny od urazu inteligentkiego i czy środowisko kultury miejskiej nie pozostawiło na nim śladu, wpływając jak woda. Byłoby to wulgarnie i zbyt łatwe rozwiązanie.

Twórczość Marca wykazuje wysoką kulturę literacką autora, wykazuje świadomość drogi, jaką obrał i po jakiej konsekwentnie kroczy. Być może, że jako poeta o niezbyt bujnej wyobraźni, małej skłonności do refleksji, łatwiej utrzymuje się w kręgu realiów. To przypuszczenie uzasadniają wiersze nie refleksyjne, ale problemowe i uziemione. Realia jego poezji wzięte są wyłącznie z kręgu wsi świadomego i programowego.

Ograniczenie się wyłącznie i poprzestanie na kręgu spraw wiejskich (krajobraz, praca, matka, dom, burza, taniec, sad...) odzwierciedlonych idealizacji musiało zaprzętać Marca do literatury ludowej — do pieśni ludowej, jako do wzoru literackiego najbliższego temu środowisku. Poszukiwanie chyba świadome, podobnie jak u Sierpa. Takie utwór — jak „Taniec” jest siostrzanie podobny do wierszy Sierpa „Będą chrzciny” czy „W karczmie”.

U Marca jednak zastosowanie pewnych cech pieśni ludowej jest bogatsze niż u Sierpa. To nie tylko: wpaść w rytm obertasa, czy polki. Czytamy w wierszu tytułowym „Wnuczek orze”:

„Nogi moje same idą,
ręce plugiem chwycią same,
ze śniadaniem dziecko przybądź,
płynięcie myśli zadumane.

W rytm pieśni ludowej, czy wierszyka samorodnego poety chłopskiego, krążącego po wsi z melodią Marzec włącza nową treść — jak sztucznie, że dopiero uważniejsza analiza odkrywa tu skomplikowaną wersyfikację, pewne nieznaczne przesunięcia akcentu w stopach rytmicznych, które sprawiają, że monotony rytm piosenki sublimuje się w precyzyjny utwór poetycki.

Ale nie tylko o rytm pieśni ludowej chodzi. Ważniejszą sprawą jest podchwycenie najczęściej stosowanego w pieśni ludowej sposobu wiązania dwu członów, na które dzieli się strofa. Dla łatwiejszego zorientowania się przykład żyjącej do dziś piosenki ludowej:

Od krzaczka do krzaczka
po listeczku —
powiedz mi ma luba
o wianeczku...

Oczywiście u Marca związek logiczny dwu części, na które dzieli się przytoczona strofa, jest większy, ale moment odbicia i przerzutu nagłego treści w obydwu wypadkach należy do tego samego typu.

Na tym jednak związek z pieśnią ludową wyczerpuje się. Nastrojowość pieśni, jej refleksyjność, rzewność nie udzieliły się Marcowi. Pozostaje on do końca realista.

Antoni Bohdziewicz

Zagadnienie filmu widziane od strony wsi

Napewno nie istnieje problem, czy należy i czy warto wieś polską elektryfikować? Korzyści, jakie popłyną z zawieszenia u pulapu chłopskiej izby najslabszej choćby żarówki — są bezsporne i oczywiste dla każdego.

Ale czy równie bezsporne i oczywiste będą korzyści przy realizacji np. hasła: „radiowęzeł w każdej wsi”? Czy zainstalowanie w każdej chacie chłopskiej głośnika radiowego da wyniki równie pozytywne, jak elektryfikacja?

Tutaj — danie twierdzącej odpowiedzi zależy już od wypełnienia kilku warunków dość zasadniczych.

Czym jest w praktyce głośnik albo radio. wy odbiornik w mieszkaniu? To stale otwarty kran! Stale otwarty, bo radio-słuchacz jak dotąd nie wykazywał zbytniej wstrzemięzliwości w słuchaniu radiowego programu. Zwłaszcza radiosłuchacz świeżo pozyskany. „Grające pudełko” wypełnia mu dom szmerami, które nikną dopiero wtedy, kiedy „pudełko” się zepsuje, albo kiedy sama stacja nadawcza skończy program. Tak jest w mieście i tak będzie w wsi. Więc — kran stale otwarty. A nawet przy założeniu, że z otwartego kranu pocieknie wyborny jabłecznik — nie wydaje się, żeby to miało zbyt wiele sensu, żeby to można było nazwać bez zastrzeżeń kulturalną korzyścią. Musimy bowiem zgodzić się, że upowszechnianie kultury także wymaga pewnej higieny, że jeśli chodzi tu o umożliwienie masom dostępu do stołu ze strawą duchową, to chodzi również o naukę jedzenia, stosowania pewnych przepisów dietetycznych.

Powstają więc pytania: jak często i na jak długo — ma być głośnik radiowy w chacie chłopskiej otwarty?

Czy zamykanie i otwieranie głośnika można pozostawić inicjatywie konsumenta, czy należy to jakoś regulować ogólnie, przynajmniej w pierwszym okresie?

Co z tego „kranu” ma popłynąć: żywe słowo, czy muzyka? Ile miejsca w programie ma zająć nauka, a ile rozrywka?

Czy ma sens nadawanie dla wsi tego samego programu, jaki radio układa z myślą o radiosłuchaczem miejskim?

I tak dalej... Hasło: „radiowęzeł w każdej wsi” wymaga postawienia wielu zasadniczych pytań. Na niektóre z nich trudno dziś jeszcze dać odpowiedź, choć są dla sprawy kultury niezmiernie ważne.

Np.: w jakim stopniu radio na wsi może zastąpić książkę i gazetę? I czy zastępując, nie uczyni ich w ogóle niepotrzebnymi?

Albo: w jakim stopniu codzienne słuchanie radia zmieni przyzwyczajenia, zajęcia i tryb życia naszego chłopca? I czy te zmiany będą korzystne, czy nie?

Łatwym zachwytem, jakie budził cudowny bezsprzecznie wynalazek radia, przeciwstawiano też uwagi krytyczne. Więc — że radio sprowadza roztrągnięcie, że zabiera zbyt wiele czasu, że samo wiele zagadnień spłycza i skłania do tego samego swego konsumenta, że niweczy ciszę i spokój itd... Kompletną listę oskarżeń znajdują zainteresowani u Duhamela. Oskarżeń tych można w pełni nie podzielać, nie podobna ich jednak lekcewa-

dem tego może być np. reakcja wiejskiego widza na polskie kroniki filmowe i filmy dokumentarne, bardzo żywa i przychylna. To bowiem co trafia do umysłu poprzez oczy — ma większą wymowę i większą siłę przekonania. Dodajmy jednak, że siła ta może również działać ujemnie, jeśli się narzędzia nie potrafi użyć jak trzeba. Najlepszą propagandą jest wymowa samych faktów, prawdziwa atrakcyjność pokazywanych obrazków. Tego nie da się zastąpić komentarzem słownym, wykładem, przemówieniem agitacyjnym, pustym werbalizmem.

Dobrze. Przyjmując więc jako zupełnie słuszną tezę: film na wsi jest potrzebny, zobaczmy teraz, jak to wygląda w praktyce.

Film na wsi — to właśnie „kino objazdowe”, kino, które objeżdża wsie i miasteczka, organizując tam pokazy w salach szkolnych czy świetlicowych, lub też w okresie letnim — pod gołym niebem.



Samochód kina objazdowego

Mamy w tej chwili takich kin 65. Z tych 34 jeżdżą na specjalnie do tego przystosowanych samochodach, a 31 — korzysta z różnych przygodnych środków lokomocji: furmanek, kolei żelaznej, autobusów.

Zasadniczo — wszystkie miejscowości w kraju figurują na trasach tych 65 „kin na kółkach”. W praktyce — do wielu kin nie dotarło jeszcze ani razu, do niektórych zaś dociera zaledwie raz na 3—4 miesiące (dolna granica). Przeciętnie — częstotliwość wizyty kina objazdowego stanowi jeden raz na miesiąc. Górną granicą jest dwukrotna wizyta w miesiącu. Dotyczy to dzisiaj miejscowości położonych bliżej baz wypadowych. Dalsze szczegóły: każde kino objazdowe wędruje ustaloną z góry trasą, pozostając w podróży 24 dni. W tym czasie — w najlepszym razie daje 48 seansów, mając na każdym przeciętnie około dwustu widzów.

Centralna Dyrekcja Kin Objazdowych za najpilniejsze swe zadanie uważa rozbudowę sieci: jeszcze w roku bieżącym chce osiągnąć cyfrę stu jednostek (dzwiękowych), a w ciągu najbliższych trzech lat — cyfrę 400! I wtedy — slogan: „każdy powiat ma własne kino objazdowe!” — stanie się rzeczywistością.

Czy te, powiedzielibyśmy: „ilościowe” ambicje dyrekcji są w obecnej chwili słuszne?

Jest to właśnie pierwsza sprawa, którą działacze wsi powinni przedyskutować i tę dyskusję artykułom niniejszym pragnie rozpocząć.

Mnie osobiście — wydaje się, że można by tu zgłosić kilka poważnych zastrzeżeń. Oto moje racje:

W miastach kino stało się oddawna teatrem i książką najszerszych mas ludności. Widz miejski śledząc od początku postęp techniczny dawnego iluzjonu i jego artystyczną odrębność, jego własny język zna już dość dobrze.

Więć — jest w tych rzeczach zupełnie analfabeta. Kraj nasz liczy jeszcze sporo takich widzów, którzy w roku 47 zobaczą kino po raz pierwszy w życiu. Ci — zachowują się jak dzikusy z puszczy afrykańskiej: pokazywanych im filmów poprostu nie rozumieją! Wniosek? Ten oto: należało by tu rozpocząć od nauki czytania filmu, a nauka czytania jest nie do pomyślenia bez elementarza. Takim elementarzem kina — byłoby jakieś bardzo proste filmy, bardzo oszczędnie operujące stylistyką filmową, jaką daje montaż, zbliżenia, metafory filmowe itp. Rzecz najzupełniej oczywista, że podobny „elementarz” musi być podany w języku ojczystym, nie mogą więc to być filmy zagraniczne, tylko filmy mówione i komentowane po polsku. Napisy, do których przyzwyczaił się już widz w mieście — na wsi roli tłumacza spełnić nie potrafią, ponieważ widz czyta bardzo wolno, a poza tym nie umie jeszcze rozdzielić swej uwagi między tekst i obraz, tak żeby niczego nie uronić.

Otóż, niestety, kino objazdowe takich „elementarzy” nie ma i nie ma wielkiej nadziei, żeby je w najbliższych latach otrzymała. Kino objazdowe woźą obecnie na wieś te same filmy, jakie ogląda miasto, a te — choćby najlepsze, są w 99% pochodzenia zagranicznego, są niezrozumiałe zatem dla wiejskiego widza nie tylko wizualnie, ale także słuchowo. Powstaje konieczność komentowania filmów na

żywo, poprzedzania projekcji całym wykładem, co wymaga specjalnych kwalifikacji ze strony obsługi wozu, kwalifikacji, o jakie bynajmniej nie łatwo!

Powstaje więc pytanie: czy mimo braku filmów dostosowanych do poziomu wiejskiego widza, filmów bardzo prostych i łatwych, a przede wszystkim — mówionych w języku polskim — należy dalej powiększać ilość kin objazdowych, czy też raczej ograniczyć inwestycje w taborze i sprzęcie, a rzucić wszystkie powstałe w ten sposób sumy (spore — trzeba powiedzieć!) na zakup i produkcję filmów, które by były na wsi zrozumiałe i pożyteczne, które by spełniły choć w części rolę owych „elementarzy” filmowych?

Nie mamy tych wątpliwości, kiedy mowa o konieczności rozbudowy sieci kinoteatrów stałych, w miastach i miasteczkach. Im więcej bowiem kin, tym większy rynek, im więk-

szych i prelegentów. Stworzenia dla nich lepszych warunków pracy, jakże ciężkiej, lepszego uposażenia.

Dopiero po spełnieniu tych elementarnych warunków — można pomyśleć o powiększeniu cyfry kin objazdowych! Nie warto chyba fabrykować kranów, dopóki nie ma dla nich zbiorników z wodą zdatną do picia!

Własne kino objazdowe posiada również Instytut Filmowy. Obie akcje, o ile mogłem się zorientować — nie są skoordynowane i konkurują ze sobą, nawet co do ceny biletów. Ten stan rzeczy jest szkodliwy, tym bardziej, że dzieje się to w ramach jednego przedsiębiorstwa.

Jeszcze jedno zagadnienie, bardzo ważne, choć natury czysto technicznej: jaki typ taśmy jest najlepszy dla kin objazdowych, czy szeroka, czy raczej na 16 mm? Instytut Filmowy korzysta z tej ostatniej, Kina Objazdowe z taśmy normalnej. Wydaje mi się rzeczą niewątpliwą, że przyszłość należy bazować wyłącznie na taśmie 16 mm, za tym przemawia praktyka tych krajów, gdzie „kinofikacja” oddawna stoi na wysokim poziomie. Dyrekcja Kin Objazdowych upiera się przy taśmie szerokiej, ale jest to racjonalne tylko w pierwszym okresie, trzeba w miarę możliwości, powoli przejść na taśmę 16 mm.

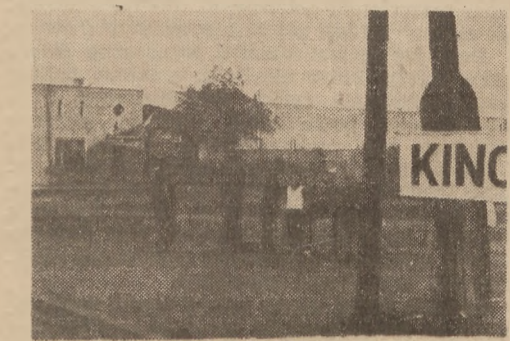
34 jednostki kin objazdowych posiadają w tej chwili własne samochody. Czy nie należało by tego wykorzystywać również dla kolportażu czasopism i książek? Narzeka się przecież że na głęboką prowincję prasa nie dociera, czemu więc nie wykorzystywać i tej okazji? Pomijam już doraźne cele propagandowe, z tym trzeba raczej ostrożnie. Ale utworzenie choćby 34 wędrownych wypożyczalni książek i czasopism nie wydaje mi się białostką, o tym warto pomyśleć. Wielkie spółdzielnie wydawnicze, jak „Czytelnik”, „Książka” i „Wiedza” powinny tu wystąpić z inicjatywą, niechże każdorazowy wyjazd kina w teren zyska kulturalnie i społecznie!

Dyrekcja Kin Objazdowych narzeka na brak pomocy w terenie ze strony tych czynników, które wszelkiej akcji kulturalnej winny nieść pomoc jak najbardziej wydatną. Więc: władz gminnych, spółdzielczych, kleru itd... Sądzę, że gdyby działalność kin objazdowych rządziej nosiła charakter zdecydowanie propagandowy i gdyby programowo — seanse tych kin były dla widza bardziej atrakcyjne, że wtedy o taką pomoc było by o wiele łatwiej. Ale i w obecnych warunkach — indolencja miejscowych czynników jest czasem rzeczywiste zbytej jaskrawa i odpowiednie władze winny temu przedsięwziąć przez wydanie odpowiednich instrukcji.

W tym krótkim szkicu chcemy tylko postawić zagadnienie: co i jak winien film zrobić dla wsi, dajmy więc pokój szczegółom. Przyjdą relacje z terenu, przyjdą uwagi działaczy wsiowych i wiele spraw jeszcze wypłynie. Najważniejsza jednak prawda, ta mianowicie: film jest wsi potrzebny! — wymaga moim zdaniem postawienia następującej tezy: w pierwszym rzędzie należy produkować specjalne filmy dla wsi, należy utworzyć filmotekę, która by miała na początek choć kilka



Samochód utknął w zaspach. Trudności terenowe są naturalną przeszkodą w pracy kin objazdowych.



Przygotowania do wyświetlania filmu. Sela na domu widocznego z tyłu jest ekranem, podwórce — widownią.

żyć. Jedno jest pewne: rosnąca w górę cyfra „radiowęzłów” na wsi — sama przez się nie jest jeszcze kulturalnym osiągnięciem, a stanie się nim dopiero wtedy, kiedy dla wiejskich głośników przygotowujemy osobny wiejski program. Program rozumny i ostrożnie dawkowany, pomyślany na dłuższą falę, uwzględniający wszystkie potrzeby i odrębność wiejskiego odbiorcy. Nie będę się nad tym dłużej rozwodził, „radiowęzeł” postawiłem się tutaj jedynie dla przykładu, dla wykazania trudności i zagadnień, jakie powstają przy lansowaniu w szerokiej skali takich zabawek, jak radio czy kino...

Kino!... I tutaj mamy popularne slogany: „W każdym powiecie jedno kino objazdowe!” „Polsce potrzeba 400 kin objazdowych!”...

Slogany, którym w zasadzie nie podobna odmówić słuszności. Od razu powiemy: mniej tu zasadniczych zastrzeżeń niż w wypadku z „radiowęzeł”. Pomoc, jaką kino przyniesie w akcji poszerzenia horyzontów polskiej wsi, może być olbrzymia. Obrazki filmowe mogą znakomicie przyspieszyć obywatelskie oświecanie wsi, mogą spełnić wiele doniosłych zadań kulturalnych i oświatowych. Dowo-

ki obrot z filmu, tym bardziej film krajowy staje się oplacalny. Otóż impreza kin objazdowych jest w przeciwieństwie do stałych kin miejskich imprezą wyraźnie deficytową: obroty „kin na kółkach” nie pokrywają ponoszonych tu wydatków bieżących, nie mówiąc już o inwestycjach!

Kino objazdowe, jak już wspomniałem, wyświetla na wsi wszystkie filmy miejskiego repertuaru, m. in. także i te stare, przedwojenne polskie szmiry, w rodzaju „Dorożkarzy”, „Jadzi wdowy” itp. Nie ma to żadnego sensu kulturalnego. Tu przecież odpada argument, którym „Film Polski” opierał zarzuty, że w latach 1945 i 1946 (a w pomniejszych miejscowościach jeszcze i dzisiaj!) wyświetlał („zgrzywał”) stare filmy. Ostatecznie, owe przedwojenne szmiry rodzimego chowu przynosiły dalej sporo grosza i można było ten grosz zużyć na „wyplek lepszego chleba” (że wyplek długo nie udaje się, to osobny problem).

Więc tak: obecne seanse kin objazdowych przynajmniej w zakresie beletrystyki filmowej — są niezrozumiałe dla wiejskiego widza, niczego go nie uczą, nie dają mu żadnej rozrywki i w dodatku — nie przynoszą żadnego dochodu! Czy warto więc w obecnym stanie rzeczy powiększać ilość kin, które nie mają innego repertuaru?

Wydaje mi się, że dla kin objazdowych najważniejszą obecnie sprawą jest co innego — wzbogacenie filmoteki wiejskiej o pewną ilość polskich filmów, które by nauczyły wiejskiego widza języka filmowego w ogóle. Musiały by to być jakieś bardzo proste opowiadania o tematach dla wsi możliwie atrakcyjnych. Opowiadania nawet krótkie, nie należy odrzucać myślenia tu o filmach pamiętometrach. Otóż wydaje mi się, że takie filmy powstają bardzo nie prędko, jeśli ich realizacją nie zajmą się specjalne spółdzielnie (najlepiej w ramach Związku Samopomocy Chłopskiej); które by niezależnie od „Filmu Polskiego” myślały o produkcji podobnych filmów. Rzecz w tym, że produkcyjna maszyna monopolu „Film Polski” pracuje zbyt wolno i mimo najlepszej woli — wszystkim zadaniom sprostać nie może. Tu do znudzenia będę powtarzał: jedynie powstanie pewnej ilości filmowych zespołów autonomicznych, grup produkcyjnych czy spółdzielni o określonych zadaniach — wyprowadzić może rodzimą produkcję filmową z impasu.

Przygotowanie dla wiejskiej filmoteki programu i tematów należałoby, rzecz jasna, do istniejących już zespołów kulturowych, które zajmują się problematyką polskiej wsi, do pisarzy i działaczy wsiowych.

Druga sprawa, również dla mnie ważniejsza od powiększenia ilości kin objazdowych, to podniesienie technicznego poziomu projekcji. Nie podobna wiejskiego widza uczyć kina, jeśli sama technika szwankuje, jeśli aparat charczy, gaśnie, lub co chwila rwie filmową taśmę, a tak właśnie nie raz bywa na seansach kin objazdowych (pracuje się na starym sprzęcie, który na klepskich drogach jeszcze bardziej się psuje). A więc — zagadnienie sprzętu i doboru obsługującego ten sprzęt personelu. Szkolenia kierowników kin objazdo-

pozycei o zdecydowanie odrębnym charakterze, pozycji polskich. Wyświetlanie filmów szwedzkich, francuskich i amerykańskich — pozwala wprawdzie wypełniać puste rubryki w sprawozdaniach, korzyści jednak przynosi w danej chwili minimalne albo żadne i lata całe jeszcze upłyną, zanim można je będzie wyświetlać z prawdziwym pożytkiem...

Zagadnieniem: wieś polska jako temat beletrystyki i reportażu filmowego — zajmujemy się osobno.

Do

NASZYCH PRENUMERATORÓW

Prosimy wszystkich prenumeratorów o dokładne, czytelne wypełnianie przekazów pieniężnych nadsyłanych do Administracji, jak również dokładnie podawanie swego adresu (miejsce zamieszkania, właściwa poczta i powiat). Wpłacający prenumeratę z ramienia instytucji proszeni są zaznaczać wyraźnie, do kogo ma być pismo wysłane, t. j. czy do danej instytucji czy na nazwisko pracownika wpłacającego.

Tadeusz Orlewicz

Co słychać w gospodarce świata

WE FRANCJI JEST CIĘŻKO Z CHLEBEM

Francja przeżywa obecnie okres dużych trudności: wewnętrzno-gospodarczych. Jest ona krajem, który nie może wrócić na drogę równowagi ekonomicznej. Charakterystyczny tu jest wyraźnie ujemny bilans płatniczy, zwykła pląc, która powoduje nieprzewidziane obciążenia budżetu państwowego, liczne choć krótkotrwałe strajki oraz coraz jaskrawsze objawy inflacyjne, wyrażające się w braku należytych powiązań w polityce walutowej Francji. Kampania o utrzymanie wartości franka i o niższe cenę jest w takich warunkach szczególnie trudna. Dla francuskiego robotnika podwyższenie płacy jest naturalną konsekwencją wzrostu produkcji: udziału płacy robotniczej w dochodzie narodowym kraju. Francuski świat pracy pragnie rzeczywistych premii za wydajność, dotąd bowiem, jak ostatnio stwierdzono, płace we Francji w roku bieżącym są w puli dochodu społecznego o 14% mniejsze, ale za to zysk przedsiębiorstw i tzw. warstw posiadających — większy o 60%. Oznacza to, że na wzmagającej się produkcji zarabia tylko pracodawca, a robotnik traci zwłaszcza z uwagi na trudności aprowizacyjne i braki w żywności.

W połowie kwietnia rb. ludność Francji stanęła w obliczu braku mięsa, a przede wszystkim — chleba. Rozgorzała na łamach pism francuskich kampania, usiłująca dać właściwy komentarz temu zjawisku. Lewica domagała się zlikwidowania wypieku ciastek,

wychodząc z założenia, że wypiek ten zabiera poważne ilości pszenicy, a jest zakupywany tylko przez te grupy ludności, które mają poważną siłę kupna, a więc tzw. sfery posiadające, drobniomieszczańskie itp. Prawica nie liczyła się z bardzo pustą kieszenią robotnika i wołała właśnie o nieograniczony wypiek ciastek, tak jakby mogło być aktualne powiedzenie: „Lud nie ma chleba, niech je ciastka”. Zarządzenia rządowe poszły w kierunku ograniczenia wypieku ciastek i ograniczenia przydziałów dziennych chleba. Racja dzienna chleba dla jednej osoby spadła z 350 gr na 250 gr.

Przyczyny takiego stanu rzeczy tkwią głęboko w aktualnej sytuacji rolnictwa francuskiego. Office National Interprofessionel des Cereales, a więc państwowy urząd zbożowy, twierdzi, że kryzys zbożowy powstał z następujących zjawisk:

- 1) poważne ilości zboża idą na czarny rynek,
- 2) wobec dużych różnic w cenach na zboże i na bydło rzeźne — zboże idzie w wielu gospodarstwach rolnych na wypas bydła,
- 3) oczekuje się w roku bieżącym słabych zbiorów, skoro 37% ozimim wymarzło, a powódzie uszczupliły powierzchnię żniwną, to też rolnicy zachowywali duże zapasy zboża na zasiewy,
- 4) w wielu mniejszych miejscowościach ugruntował się zwyczaj handlu wymiennego

i rolnicy wymieniają bezpośrednio zboże na towary.

W odpowiedzi na to sfery rolnicze Francji twierdzą, że przyczyną zła są zbyt wysokie kontyngenty, nakładane przez rząd w związku z zaopatrzeniem reglamentowanym ludności, przy czym jednocześnie szereg przydziałów dla rolnictwa uległo ograniczeniu. Dotyczy to przede wszystkim nawozów sztucznych, których wieś otrzymuje znacznie mniej bo idą one jako towar eksportowany zagranicę. Francja w roku bieżącym ma wyraźnie ujemny bilans handlowy, który wyraża się wg przewidywań deficytem około 800 milionów dolarów amerykańskich. Wzmaganie zatem eksportu za wszelką cenę i każdym artykułem nie może mieć racji zwłaszcza, jeżeli to odbywa się kosztem rolnictwa.

Prawda jak zwykle leży po środku. Pszenica jest we Francji najważniejszym gatunkiem zboża chlebowego. Przeciętnie przed wojną rolnictwo francuskie produkowało około 8 milionów ton pszenicy rocznie. Ponieważ zapotrzebowanie rynku wewnętrznego na pszenicę wynosiło najwyżej 7 milionów ton, sytuacja na tym odcinku była pomyślna. Francja w okresie przedwojennym była samowystarczalną w dziedzinie pszenicy, a nawet mogła sobie pozwolić na eksport pewnej ilości tego produktu. Zgola odmienną jest rzecz, że ogólna samowystarczalność Francji w zakresie artykułów żywnościowych była

ostatnio w latach 1930—1939 problematyczna, ale luki były łatwo uzupełniane importem z jej kolonii.

Po wojnie obraz uległ zasadniczej zmianie. Okupacja hitlerowska i zły urodzaj w roku 1945/46 zmusiły rząd francuski do sprowadzenia w tym okresie ponad 4 milionów ton ziarna, a więc ilości, przekraczającej połowę zapotrzebowania rynku wewnętrznego kraju. Urodzaj w ub. roku był dobry i dał 6,5 milionów ton pszenicy. Zdawało się zatem, że samowystarczalność Francji w tym okresie jest zapewniona, bo liczone się z tym, że wobec złego urodzaju we Francuskiej Północnej Afryce trzeba będzie tylko tam przekazać pewne ilości zboża, pochodzącego z importu. Ale zadecydowały czynniki natury poza gospodarczej. Mróz zniszczył 37% ziół ozimych. Zboże przeznaczone do konsumpcji, poszło w dużej ilości na ponowne siewy na wiosnę. W obawie o to, że zbiory obecne nie dadzą w wielu okręgach nawet dostatecznej ilości na przyszłe zasiewy, chłopci porobili sobie zapasy siewne. Resztę zużyto na paszę. Tym właśnie należy tłumaczyć tak bardzo wczesny i tak dotkliwy tegoroczny przednówek we Francji. Premier Ramadier w apelu do rolników francuskich wyraźnie podał, że w połowie maja Francja i jej miasta potrzebują 300.000 ton zboża, aby zapełnić lukę. Twierdził, że zapasy, jakie rolnicy francuscy posiadają, wystarczą na okres 2 miesięcy a więc do przyszłych zbiorów. Złożył więc na rolników obowiązek zaopatrzenia miast w zboże po słusznej cenie. Podkreślił jednocześnie, że możliwości pomocy z zewnątrz są ograniczone, ponieważ — zdaniem Ramadier — wszędzie na świecie w zbożach chlebowych zaznacza się deficyt a do importu potrzebne są dewizy, których Francja ma niewiele.

Kryzys został częściowo zażegnany, ale sprawa nie została definitywnie wyjaśniona. Radykałowie francuscy domagają się powrotu do wolnego handlu zbożem. Inni natomiast atakują rząd za zbytne liczenie na pomoc USA i dostawy amerykańskie, nadto zaś za przyczynę kryzysu uważają wadliwą politykę cen, która przekreśliła dla drobnych producentów rolnych rentowność uprawy zbóż chlebowych.

Jak wygląda ta polityka ilustruje następujące zestawienie. Jeżeli przyjmiemy, że ceny w roku 1938 na pszenicę, na wszystkie artykuły spożywcze i na wytwory przemysłowe, potrzebne wsi do życia i produkcji, wynosiły po 100 punktów dla każdego rodzaju, to w roku bieżącym mamy taki obraz: pszenica — 489, ogół środków spożywczych — 945, artykuły przemysłowe dla wsi — 756. Łatwo więc zrozumieć, że rolnik francuski woli zmniejszyć powierzchnię uprawną pszenicy, która przestaje być dla niego opłacalną, a pragnie zastąpić siew pszenicy siewem innego ziarna, z którego zbiór będzie mógł na wolnym rynku sprzedać znacznie drożej niż rząd wpłaci mu za pszenicę. Rezultaty nie każą na siebie długo czekać. W roku 1938 zbierano pszenicę z 5.000.000 ha, w roku bieżącym zaś powierzchnia zasiana pszenicą nie przekracza już 4.000.000 ha. Wprawdzie zwiększa się uprawa żyta, które w roku bieżącym zajmuje 408.000 ha, i jęczmienia (181.000 ha), ale tendencja ograniczenia powierzchni uprawy pszenicy jest szczególnie groźna we Francji, gdzie pszenica jest głównym materiałem chlebowym. Polityka „taniego chleba” wydaje zatem nieoczekiwane owoce.

Dziś już można oceniać tegoroczne zbiory jako zbiory, które nie będą w stanie pokryć zapotrzebowania rynku wewnętrznego. Przy zmniejszonej powierzchni uprawy pszenicy oczekuje się maksymalnego zbioru około 5.000.000 ton. Po zbiorach zatem Francja będzie musiała 1/4 całorocznego zapotrzebowania na pszenicę importować. Plan Monnet'a importu tego nie przewidywał. Tak znaczny dowód ograniczyły oczywiście możliwości realizacyjne tego planu odbudowy.

Istnieją nadal spory wśród partii politycznych na temat polityki gospodarczej Francji. Sytuacja ogólna wskazuje jednak na to, że Francja powinna wkroczyć śmiało na tory gospodarki planowej, czy kierowanej, jak ją nazywają niektórzy ekonomiści francuscy. Rozszerzające się bowiem nożycę cen na artykuły przemysłowe i rolne nie przynosiły pozytywnych rezultatów ludności pracującej w miastach i na wsi. Francję toczy choroba ekonomiczna, którą próbuje się zaleczyć pożyczkami międzynarodowymi, pochodzącymi z USA. Można taktykę taką oceniać, jako politykę szukania dróg najłatwiejszych. Do najbliższej przyszłości należy ocena czy takie postępowanie jest słuszne z punktu widzenia suwerenności gospodarczej Francji.

Jerzy Falenciak

CHŁOPSKIE WCZASY

(List z Mielna do redaktora „Wsi”)

Pozdrawiam Cię, Janie Aleksandrze. Jest to „pozdrowienia z nad morza” z okazji moich wczasów i pierwszego urlopu od lat siedmiu, który jest zarazem pierwszym w moim życiu urlopem — powiedzmy mieszczańskim.

W Mielnie ładnie, jak chyba nigdzie na Wybrzeżu. Przed wojną jeszcze za niemieckich czasów, przyjeżdżali tu nie za bardzo bogaci Czesi, sklepikarze, rzemieślnicy i nie uwierzysz — chłopci, kiedy żniwa zbierały się z nadbałtyckim sezonem letniskowym.

Miejscowi hotelarze przygotowali tutaj w swoim czasie dla gości z Czech coś w rodzaju miniaturowej i parodii Sopotu albo Międzyzdrojów. Mamy więc w spadku po nich park z „muszlą”, plażę, lecz bez mola, ze trzy knajpy i kilkanaście pomieszczeń pensjonatowych. Bawili się wtedy czescy majstrzy i handlarze. Rano plaża, po południu kwartet w „muszli” z takimi kawałkami jak „Taniec kwiatów” albo „Poczta w lesie”, a wieczorem popijali koszalińskiego pilznera. Nie wątpię przez chwilę, że tak samo zachowywali się ich chłopscy towarzysze.

Widzisz więc, że może wypoczywać zdala od domu chłop czeski, duński, rosyjski kołhoźnik, lecz nie chłop polski. A gdyby nawet przyjąć teoretycznie tylko, że tu do Mielna przybyli razem z nami urzędnikami, robotnikami, także i chłopci z głębi Polski, to jakby oni wyglądali? My pieklibyśmy się na słońcu do przesady, jak to czynimy co dnia, a oni śmieliby się z nas. My drygamy „swingiem” w „domu zdrojowym”, a ich dziwiłoby to, lub może i peszyło, my „szukamy wrażeń”, co w ich oczach kawlifikowałoby nas jako ludzi bez obyczajów itd. itd. Nie długo wytrzymałoby na takich wczasach, które — co tu dużo mówić — nie są dla nich już ze swego założenia.

Wiem z góry, że wezmiesz mi za złe moje rozumowanie, a mój list określiś jako „wyraz kompleksów”. Niech więc to będzie wyraz moich chłopskich jeszcze urazów.

Myślę otóż, że gdyby kto obszedł całą Polskę i zapytał każdego chłopca, czy uważa za możliwe wczasy dla siebie, takie same wczasy jak np. robotnicze, wówczas usłyszałby, że nie. Ja sam zaś nie odważyłbym się nigdy przeprowadzić takiej ankiety we wsi, z której pochodzę, w której wszyscy mnie dobrze znają. Ba, nie odważyłbym się nawet organizować tam wycieczki na święto morza lub ogólnonarodowe dożynki. Bałbym się po prostu narażać na śmieszność pośród moich ziomeków, chociaż bynajmniej nie uważam ich ani za barbarzyńców ani za ludzi niewyrobionych społecznie i politycznie.

Bo weź! W mojej wsi, jakich w Polsce najwięcej, kobiety z pokolenia mojej bab-



Ilustracja z „Wsi ilustrowanej” r. 1910.

ki i matki nie wytykały nosa poza parafię, gminę, no, powiat i nigdzie dalej, chyba, że szły służyć do niedalekiej Warszawy. Znam też jedną, tylko już z mojego pokolenia, co wyszła za mąż za „zawisłoka”. — Mężczyźni z pokolenia mojego dziadka i ojca, jeśli nie wyemigrowali na stałe albo nie brano ich „w soldaty” gdzieś do Władystoku („eszalonem” 42 dni w jedną stronę) czy do Kerczu, też nie znali geografii inaczej, niż abstrakcyjnie („Święta Rodzina uciekała z Palestyny — skądś — do Egiptu — dokądś, czy to na wschodzie słońca czy na zachodzie, tego nie wiem”). Moi rówieśnicy, dzisiaj często wtórni analfabeci, gdy oderwali się na dłużej od swego Nowego Prażnowa pozostając nadal chłopami, to z nielaskawą pomocą ostatniej wojny.

Piszę Ci o chłopach dobrze osiadłych, i nie wliczam do nich chłopskich sklepikarzy, faktorów czy wsiowych złodziejów, bo ci dzisiaj, to zupełnie co innego. Ci wszyscy bowiem, chociaż ze wsi i na wsi, płyną nurtem miejskim, mieszczańskim i wiedzą, co to żyć i użyć.

Nie poadasz mnie chyba, iż uważam, że chłopu w jego warunkach nie potrzeba odpoczynku, tak jak potrzeba robotnikowi albo inteligentowi. Nie chodzi przy tym o wypoczynek fizyczny, ale psychiczny i głównie psychiczny. No bo ilu to neurasteników produkuje nuda wiejska, z jej falującymi łanami, z cichymi wieczorami zimowymi, ze świerzcami za kominem i tam dalej, przy strasnym braku wrażeń od kolyski do grobowej deski, przy strasnym prymitywne życia kulturalnego, z teatrem raz na rok w księżej stodole. Też to przeżyje i przeniesie, kto w życiu nic

ponadto nie widział. I nawet nawyk chłopskiego obowiązku nie zawsze odwodzi od myśli o samobójstwie.

Ze mam rację, mimo moje tylko osobiste doświadczenia, jakie właściwie są zawsze urazami, na to dam Ci kilka przykładów.

Widziałeś pewnie, jak gospodarują w naszych warunkach chłopci — reemigranci z Ameryki albo, po co więcej, jak gospodarują chłopci, którzy otarli się o szkołę średnią nie kończąc jej.

Przyjrzyj się też dokładnie naszym chłopskim intelektualistom z zespołu „Wsi”, dla których ziemia, a nie co innego jest podstawą utrzymania.

I do czego teraz zmierzam.

Myślę otóż, że chłop w Polsce jest jedynym typem obywatela, dla którego oderwanie się od jego warsztatu pracy jest fizycznie niemożliwe.

Tym zjawiskiem rządzą te same prawa (może to są prawa ekonomiczne?), które nie pozwalają mu umierać w szpitalu, gdy jest chory na raka albo na gruźlicę, a zmuszają go do goryczą w męczarniach w domu bez lekarza, to są te same prawa, które nie pozwalają mu sypiać inaczej, jak latem w stodole, a zimą na wyрку w oborze (napierw, że mu nogi trudno domyc a później, żeby krowy albo konia nie wyprowadzono w ciemną noc). Stąd wniosek marginesowy, ale ogólny. Inny i niezszęśliwszy jest chłop u nas, niż chłop w Czechach choćby.

Daj mi teraz dowód, że nie jest tak źle, jak ja to widzę. Myślę jednak, że stały się poparłaby moją stronę. Jeśli zaś zdarzyło się, że dla celów eksperymentu zorganizowanoby wycieczkę chłopów na wczasy, tu do Mielna, to po powrocie do domu rzeczywistość byłaby dla nich na długie lata nie do zniesienia. Sprawa w tym jeszcze, że ja za chłopów uważam tych moich, jak spod Grójca, bytujących w warunkach nie wiele różniących się od warunków, w których żyli ich przodkowie w XV wieku, o czym dużo w ówczesnych zapiskach sądowych. A chłopci z Liskowa czy Hanzłówki, to dla mnie cudzoziemszczyzna i tego ani myślę brać za przykład.

Janie Aleksandrze! Być może, że nie zgodzisz się ze mną. Jednakże co szkodzi sprawdzić rzecz między samymi chłopami. Od czego „Wieś”? Ogłoś ankietę na temat: „Chłopskie wczasy” z punktami:

- 1) Czy chłopu potrzebny jest odpoczynek poprzez wczasy, zdala od jego zagrody?
- 2) Czy możliwe jest to w tej chwili i w jaki sposób?
- 3) Jakie mogą być przeszkody w urzędzeniu chłopskich wczasów?

Jeszcze raz pozdrawiam Cię z całego serca.

Jerzy Falenciak

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 133. tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 133 II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2. D—0015979